Numer 49. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 4 Grudnia 1927

ROLA

KRAKÓW, ulica św. Tomasza 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola“ przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.

Serduszko.

Wandzia i Zdziś dostają pierniczki w rozmaitych kształtach i biegną z niemi do swego pokoju. W godzinę później mama mając jakiś interes do synka, woła go i pyta:

— Zdzisiu! Czy masz dobre serduszko? Miałem, mamusiu — odpowiada smutnie Zdziś — ale je Wandzia zjadła!

W Kulikowie.

Turysta: — Nie urodził się tu u was jaki wielki człowiek?

Przewodnik: — Nie, panie, u nas zawsze rodziły się tylko małe dzieci.

Zakład.

Podczas wielkiej uczty powstaje sprzeczka na szarym końcu, wśród dzieci.

„Czemu wy się znowu sprzeczacie?“

„Olek nie chce mi dać grosza, o któryśmy sę założyli“.

„A dlaczegoście się założyli?“

„Włożyłem kilka żywych glist do makaronu i założyłem się, że nikt ich nie spostrzeże“.

Zimnokrwisty.

„Co Pan zrobił — krzyczy kljent, wpadając do drogerji — zamiast chininy dał mi Pan strychniny“.

„W takim razie musi Pan złotego dopłacić! — odpowiada spokojnie drogerzysta.

Znalazł się.

„Pryncypał powiedział mi: Idź Pan do djabła“.

„I co Pan na to zrobił?“

„Przyszedłem natychmiast do Pana, Panie adwokacie“.

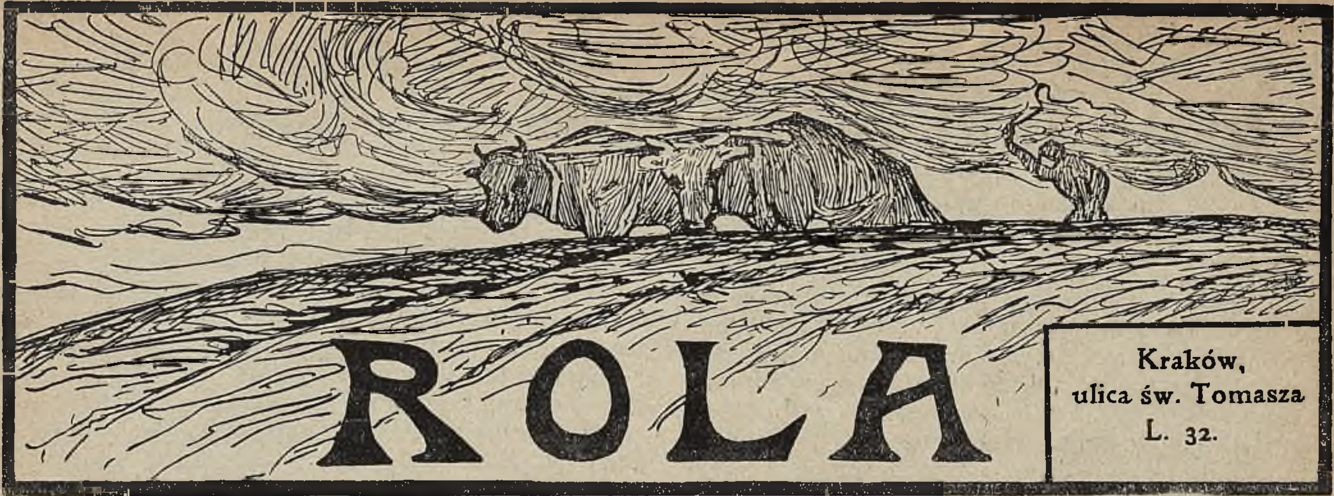
Człowiek bez nerwów.

Służąca Bernarda Shaw'a wpada do gabinetu pisarza:

„W kuchni wybuchł ogień...!“ Shaw odpowiada spokojnie:

„Proszę powiedzieć o tem mej żonie! Ja nie zajmuję się gospodarstwem domowem“.

Numer 49. X. Rok Kraków, dnia 4 Grudnia 1927



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł. półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Adwent.

Jeszcze w ubiegłą niedzielę rozpoczął się Adwent i trwać będzie aż do Wigilji Bożego Narodzenia. Jest to czas oczekiwania przyjścia Pana Jezusa na świat, a trwa cztery tygodnie, gdyż mniej więcej tyle tysięcy lat ludzkość oczekiwała na przyjście Odkupiciela, ile tygodni my teraz czekamy na rocznicę tej wielkiej chwili.

W samej nazwie tego okresu czasu jest wyrażone jego znaczenie, gdyż łacińskie słowo „Adwentus“ znaczy po polsku przyjście, a domyśleć się należy przyjście Chrystusa Pana. Adwent w Polsce nazywano dawniej czterdziestnicą, ponieważ pierwotnie trwał przez dni czterdzieści, taksamo jak wielki post. W dawniejszych czasach Adwent zaczynał się zaraz na drugi dzień po świętym Marcinie. Stąd powstał zwyczaj, że w dniu św. Marcina ucztują w niektórych okolicach, zjadając pieczone gęsi, gdyż dawniej również w dniu tym ucztowano, jako w dzień ostatni przed zbliżającym się czterdziestodniowym postem. Do uczt zaś używano gęsi z tego powodu, gdyż z początkiem zimy z kości gęsich czyniono wróżby, jaka będzie zima.

W Krakowie podczas Adwentu dawniej grywała kapela na instrumentach dętych hejnał z wieży Marjackiej na pamiątkę słów Pisma świętego: „Śpiewaj trąbą Syonie“, czyli zapowiedzianego wezwania Archanioła na Sąd ostateczny, gdy Chrystus przyjdzie powtórnie.

Ludzie pobożni tak, jak na Wielkanoc, idą w czasie Adwentu do spowiedzi, milkną wesołe śpiewki i muzyka, bo jak mówi stare przysłowie: o patronach rozpoczynających Adwent: „Święta Katarzyna klucze pogrubiła, święty Jędrzej znalazł, zamknął skrzypki zaraz!

Ustają więc w Adwencie uciechy i zabawy, bo czas ten jest czasem pragnienia i wyczekiwania przyjścia Pana Jezusa, a im bardziej dzień ten się zbliża, tem serdeczniejsze i radośniejsze jest pragnienie Kościoła świętego, z którem oczekuje przyjścia swego Boskiego Odkupiciela. Kościół święty oczekuje przyjścia Pana Jezusa taksamo, jak oczekiwano w dawnych czasach rzeczywistego Narodzenia Pana Jezusa. Bo nim Zbawiciel zaczął swoje nauczanie, już święty Jan Chrzciciel opowiadał żydom o bliskiem przyjściu Zbawiciela. Oczekiwanie było tak powszechne, że tłumy garnęły się do świętego Jana, aby z ust jego usłyszeć wielką zapowiedź, a napływ ten był tak wielki, że coraz więcej ludzi było przekonanych, że sam św. Jan Chrzciciel jest tym oczekiwanym Mesjaszem, o którym on opowiadał. Ale św. Jan tłomaczył im, że nie jest Odkupicielem, że dopiero później zjawi się Jezus Chrystus, któremu św. Jan nie jest nawet godzien rozwiązać rzemyka u trzewików Jego.

Tak, jak św. Jan w owe czasy szedł pomiędzy ludzi, aby ich pouczać o przyjściu Pana Jezusa, a więc o przyjściu Tego, który miał świat dźwignąć z niewoli grzechowej, taksamo w czasie adwentowym idzie Kościół święty do wiernych i odzywa się do nich przez usta kapłanów, aby się gotowali na przyjęcie Pana Jezusa.

W czasie tym wszelkie ozdoby, jakie znajdują się w świątyniach zostają usunięte, a kapłani w czasie Mszy św. ubierają ornaty fjoletowe na znak pokuty. A i wioski nasze mają wówczas smutny wygląd. Przez całe cztery tygodnie nie słychać nigdzie wesołej piosenki, ani nigdzie skrzypka nie zadźwięczy radośnie. Karczmy świecą pustkami, bo tylko ten i ów nałogowy pijaczyna do nich zagląda, inni zaś, choć tam w innym zwykłym czasie kieliszkiem nie gardzą, na święty czas Adwentu zaprzestają picia, a więcej czasu poświęcają rozmyślaniom o duszy swojej i życiu pozagrobowem. Posępni ludzie, posępna i przyroda, bo i ona z utęsknieniem oczekuje, kiedy rozlegnie się po wszej ziemi radosna pieśń, a tak droga każdemu sercu katolickiemu: „Bóg się rodzi, moc truchleje!“

WALERY PRZYBOROWSKI.

Było to pod Jeną...

(Opowiadanie legjonisty).

X.

Na czele wchodzących do izby karczemnej postępował mężczyzna wysoki, zawiędły, z ogromnymi, jak wiechcie, wąsikami. Zapach pieczonej gęsi widocznie mile podziałał na powonienie rotmistrza (bo taki miał stopień, jakem się później dowiedział), gdyż głośno pociągnął swym wielkim nosem i, zbliżywszy się do mnie, ogromnem swem łapskiem w zabrudzonych białych rajtarskich rękawicach uderzył mię silnie w ramię i krzyknął w miejscowem, gardłowem narzeczu:

— Hej, jegomość, czy to twoja gęś?

— Moja — odrzekłem spokojnie i nie przestając krajać.

— Czy jesteś głodny?

— Nawet bardzo.

— Bo ja jestem głodny, jak pies, i mam ochotę połknąć tę gęś.

— Przykro mi bardzo, ale każdy przedewszystkiem powinien dbać o swój żołądek i ja gęsi tej odstąpić panu nie mogę.

— Donnerwetter! — zaklął głośno — to jakiś zuchwały młokos. Oddaj gęś i idź do djabła!

Wyciągnął swą mokrą i zabrudzoną łapę w zamiarze schwytania brytwanny z gęsią. Lecz ja ją odsunąłem ku sobie i rzekłem spokojnie ale stanowczo:

— Przepraszam, to jest moja gęś. Jestem głodny i nie mam ochoty zrzekać się dla kogoś tak znakomicie przyrządzonego pieczystego.

Małe, świdrowate, świecące, jak u kota, oczka rotmistrza przybrały straszny wyraz; wąsy mu się najeżyły, jak u wilka, a rubinowy nos zmienił się w burakowo-siny. Miał już coś rzec, gdy wmieszał się w tę sprawę gospodarz. Kłaniając się do kolan wojakowi, zamiatając podłogę swą długą białą szlafmycą, począł słodziutkim dyszkantem prawić:

— Niech się szanowny pan jenerał nie gniewa. Ja zaraz każę zarżnąć nie jedną, ale trzy, cztery, nawet... co mówię!... pięć gęsi... upiec je tak samo, jak ta, a nawet... co mówię! o wiele lepiej, bo z majerankiem i cebulką... i za godzinę... a nawet, co mówię! za pół godziny... gęsi będą gotowe.

— Idź do stu par rogatych djabłów z twojemi gęsiami! — krzyknął rotmistrz tak strasznym głosem, że przerażony oberżysta, jak z procy wyrzucony, odskoczył aż do ściany. — On myśli, że ja będę czekał na jego pieczone gęsi. Mnie się jeść chce... Donnerwetter! i chcę zaraz jeść!

Wtedy gospodarz wpadł na nowy pomysł. Zbliżył się do mnie na palcach i ciągle w ukłonach rzekł:

— Niech wielmożny pan odstąpi jego wielmożności panu jenerałowi tę gęś, a ja drugą upiec każę. To będzie prędko, za dwie godziny, a nawet, co mówię! za godzinę.

Z tym samym niewzruszonym spokojem, jaki mimo to, że wszystka krew się we mnie burzyła, potrafiłem dotąd zachować, rzekłem:

— Ani myślę odstępować tej gęsi. W oberży dla wszystkich jest jednakowe prawo. Kto pierwszy, ten lepszy.

Rotmistrz w strasznem uniesieniu zawołał swym grzmiącym, chrapliwym głosem i uderzył swą potężną pięścią w stół, aż brytwanna z gęsią podskoczyła do góry, a oberżysta z krzykiem: Ach, err Je! potoczył się do ściany.

— Co to jest, do stu par djabłów! Kto tu śmie mnie się opierać? Kto ty jesteś?

— Jestem podróżny... jestem szlachcic... i nie pozwolę nikomu w ten sposób do siebie przemawiać! — zawołałem także podniesionym głosem, nie mogąc już opanować ogarniającego mnie gniewu.

Rotmistrz spojrzał na mnie, zmierzył swym bazyliszkowym wzrokiem i zapytał:

— Podróżny jesteś? szlachcic? He! he! A dokądże to jedziesz i co tu robisz w tej odosobnionej austerji? Może szpieg jesteś pruski! Pas masz?

Sprawa więc przybierała stanowczo jak najgorszy dla mnie obrót i widziałem, że z tym krzykliwym, rozpuszczonym i napół pijanym żołdakiem do ładu nie dojdę.

— Pas masz? — wołał — pas masz?

— Nie mam. Jestem Polakiem... jadę do legjonów!...

— Polak jesteś! Donnerwetter, daleką sobie wybrałeś ojczyznę. Szpieg jesteś pruski, ja to widzę dobrze!

Obrócił się do towarzyszących mu oficerów i do dragonów, których kilku w czasie tej sceny weszło do izby, i zawołał:

— Zrewidować go i powiesić!

Położenie stawało się groźnem. Na rozkaz swego dowódcy żołnierze w jednej chwili rzucili się na mnie, obezwładnili zupełnie, powalili na ziemię i rewidować zaczęli. Oczywiście znaleźli pismo ks. Czartoryskiego, znaleźli list Tadzika Skalskiego, który ze sobą zabrałem, a co najważniejsza, znaleźli dobrze nabity trzos z talarami i dukatami. Rotmistrz, który tymczasem zasiadł przy stole i zabrał się do pożerania mojej gęsi i krzyczał na oberżystę, by mu wina dał, na widok papierów i trzosu jeszcze bardziej wytrzeszczył swe jaszczurkowate ślepie i wołał:

— Zobaczymy, co to jest, a szpiega tego powiesić!

Nie wiem, na czemby się to skończyło, bo żołnierze zamierzali mię wynieść z izby, gdyby jeden z oficerów nie wstrzymał ich znakiem ręki i, nachylając się poufale do rotmistrza, rzekł:

— Zaraz, niema nic pilnego... Tak przecież postąpić obcesowo nie można. Należy zobaczyć, co to za papiery i co jest w tym trzosie... należy wybadać jeńca...

— Co mi tam prawisz, mości poruczniku von Hochdorf! — zawołał rotmistrz, mając całą gębę napełnioną gęsią. — Czy ja mam czas na jakieś badania! Czy to ja burmistrz jakiego miasteczka?...

— Wszakże, rotmistrzu Millerze — rzekł chłodno porucznik — tak postępować nie można.

— Więc co chcesz, do stu par djabłów?

— Trzeba wprzód przeczytać te papiery, i wybadać jeńca.

— A więc czytaj sobie i badaj, a mnie głowy nie kołtuj, do stu par siarczystych djabłów!

Hochdorf wziął do rąk leżące na stole listy i rzekł do mnie:

— Zbliż się pan!

Roztworzył najprzód list księcia Czartoryskiego, przeczytał i po chwilowem milczeniu, patrząc na mnie, odezwał się:

— Cóż to za książę Czartoryski? Słyszałem gdzieś to nazwisko.

— Jest to wielki pan polski — odrzekłem — i feldmarszałek wojsk cesarskich.

— Ach, tak! prawda! Więc pan jesteś jego dworzaninem?

— Tak i nie.

— Jakto? Wszak tu jest napisane, że pan jedziesz do Paryża z jego polecenia?

— Niech pan raczy przeczytać drugi list, a rzecz się wyjaśni.

W milczeniu wziął do ręki pismo Skalskiego, ale zaraz je położył, mówiąc:

— Nic nie rozumiem. W jakim języku jest to napisane?

— W polskim.

— Więc pan jesteś Polak? Prawda, mówiłeś, że jedziesz do legjonów. Ale to się nie zgadza z pismem księcia Czartoryskiego.

— W rzeczy samej jadę do legjonów, pismo zaś księcia Czartoryskiego wziąłem, ażeby się niem zasłonić, w razie gdyby mnie w państwie austrjackiem nagabywano o paszport.

— Aha! A cóż jest w tym trzosie?

— Pieniądze.

— Czyje?

— Moje i jednego z moich kolegów, który jest już w legjonach i któremu wiozę z domu trochę pieniędzy.

— A gdzież jest ten pański kolega?

— W Strasburgu — i ten drugi list to właśnie jest list mego kolegi z prośbą o przywiezienie pieniędzy.

— Szkoda, że nie możemy przeczytać tego listu i sprawdzić autentyczności pańskich zeznań. Jak się nazywa ten kolega?

— Skalski, Tadeusz Skalski.

— A pan jak się nazywasz?

— Józef Rudnicki.

— Tak, w rzeczy samej, tak pana nazywa książę Czartoryski. Hm... a dokąd pan jedziesz?

— Do Strasburga, choć nie wiem, czy tam zastanę jeszcze mego kolegę.

— Wątpię. Słyszałem, że w korpusie marszałka Neya jest brygada polska pod wodzą jenerała Henri'ego. Hm... szkoda, że pańskie zeznania nie zgadzają się z listem księcia Czartoryskiego.

Całej tej rozmowie przysłuchiwał się rotmistrz Miller, pałaszując łapczywie moją gęś i rzucając na mnie od czasu do czasu straszne wejrzenia swych żmijowatych oczek. A porucznik Hochdorf mówił dalej:

— Czem pan jedziesz? Czy najętą bryczką?

— Nie, własnymi końmi.

— A gdzie one są?

— W stajni.

Porucznik zwrócił się do jednego z żołnierzy i zawołał:

— Klein, idź i zrewiduj bryczkę.

A gdy żołnierz wyszedł, pytał dalej:

— Czy sam pan powozisz?

— Nie... mam służącego.

— A gdzież on jest?

Wskazałem na Grzesia, który jakoś dotąd szczęśliwie uniknął wzroku żołnierzy, kryjąc się w ciemnym kącie. Teraz, zmuszony, wystąpił blady i dygocący ze strachu. Porucznik obejrzał go i rzekł:

— Szkoda, że co innego jest w liście księcia Czartoryskiego...

— Co to gadać! — ryknął rotmistrz. — Po co te ceregiele! Powiesić obu łotrów i będzie koniec!

— Nie można rotmistrzu — odrzekł porucznik — w tym liście, pisanym jakoby po polsku, mogą być ważne wskazówki.

— Więc cóż, do stu djabłów? Czego waćpan chcesz?

— Sądzę, że należy zabrać tych dwu ichmościów i dostawić do głównej kwatery. Niech ich tam wybadają i robią sobie z nimi, co się im żywnie podoba.

— Donnerwetter, co za ceremonje! Pan zawsze coś musisz wymyślić! Badania, śledztwa, czytanie listów! niech to wszyscy djabli porwą!

Zwrócił się do żołnierzy i ryknął:

— Związać dobrze tych włóczęgów! zabierzemy ich ze sobą. A pilnować mi bacznie. Za godzinę wyruszymy. No, czego stoicie? Idźcie do wszystkich djabłów!

Żołnierze mnie i Grzesia wyprowadzili z izby.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dary św. Mikołaja.

— Lutka! gamoniu jakiś, czego ty tam marudzisz znowu? A chodźże z tą wodą! A to skaranie boskie z tem dzieciakiem, wiecznie to się wlecze, i ani to napędzić do roboty, paniątko jakieś, widzicie ją! A do żarcia to zawsze pierwsza, i marcepanów jej się zachciewa.

Tak krzyczała i zrzędziła wiecznie starsza już kobieta, w brudnej sukni i rozdeptanych chodakach, na dziewczynkę, może 9-cio-letnią, dźwigającą z podwórza od studni ciężką konew z wodą, którą niosła z wysiłkiem i przystawała raz po raz.

Kobieta była szynkarką w zajeździe, w prowincjonalnem miasteczku, była chciwa i despotyczna. Miała męża ciemięgę i rządziła nim, jak chciała jednem słowem, był to człowiek-maszyna, którą zawsze nakręcała do swych celów. Miała dwie córki Franię i Helę i kochała je bałwochwalczo i dogadzała każdej zachciance. Stroiła je z pretensjonalnością wielkopańską, co nadzwyczaj psuło już i tak rozkapryszone panienki, które stawały się dumne i nieprzystępne, a serca to już w nich i za grosz nie było. Cierpiała na tem wielce biedna Lutka. Zawsze brudna i zaniedbana, a wiecznie zapracowana, bo każda chwila spoczynku wydawała się dla despotycznej kobiety stratą czasu i wiecznie wynajdywała dla dziewczynki jakieś zajęcie. To też biedactwo nigdy nie miało czasu zająć się sobą. Mimo tego kontrastu z twarzy dziewczynki biła taka słodycz i anielskość, że każdy nawet nieuprzedzony, mógł się domyśleć, że to dziecko nie urodziło się pod płotem, a jakiś mściwy los rzucił je na tę poniewierkę.

Skąd się wzięła w tej rodzinie? nikt nie wiedział. Dwuletniem dzieckiem już tam była. Zrazu chowała się z tamtemi dziewczynkami, ale w miarę jak podrastała traktowano ją coraz gorzej i popychano na wszystkie strony, a już to w dokuczaniu jej celowały obie panienki. To też ile tam było szturchańców i łez biednej dziewczynki.

Pewnego razu, a było to w grudniu, w samą wilję św. Mikołaja przed zajazd zajechały eleganckie sanie, i wysiadł z nich młody jeszcze mężczyzna, odziany w futro. Nie pytając nikogo, wszedł do izby szynkownej i kazał sibie podać gorącej herba-

ty. Szynkarka, zmiarkowawszy, że ma nie byle jakiego gościa, stała się nadskakująco grzeczną i na wszelkie sposoby chciała się dowiedzieć, kto to?, ale podróżny milczał uparcie.

W tej chwili do pokoju wbiegły obie dziewczynki z hałasem, a skarcone przez matkę spojrzeniem umilkły i dygnęły niezgrabnie przed nieznajomym, który patrzył na nie w zamyśleniu, co widząc szynkarka, poczęła się szeroko rozwodzić nad rzekomymi zaletami swych latorośli. Podróżny snać musiał już coś zasłyszeć o tej rodzinie, bo jakby odpowiadając swym myślą, rzekł:

— Tak, tak, niedaleko pada jabłko od jabłoni!

Karczmarka zbita z tropu tem powiedzeniem zamilkła, nie wiedząc czy ten przytyk uważać za pochwałę, czy też to drwiny.

W tej chwili drzwi karczmy się otworzyły i na progu stanęła Lutka zmęczona i drżąca z zimna, dźwigając jakiś ciężar. Gołe nóżki przezierały przez zniszczone trzewiki, donoszane zapewne po którejś dziewczynce, sukienka w strzępach, łokcie świeciły dziurami.

Na jej widok, podróżny rzucił się na swem siedzeniu, jak pod sprężyną, nie mogąc oczu oderwać od tej nędzy. Znać było litość wielką na jego twarzy i coś, jakby błysk nadziei i wyrzutu sumienia. Znałżeby on to dziecko? Nie, nie znał! ale podobieństwo do kogoś, kogo on znał i szukał było uderzające. W tej chwili szynkarka poczęła znów krzyczeć i wymyślać na Lutkę, aż mała rozpłakała się. Podróżny, jakby się litując, wmieszał się, pytając:

— Czyje to dziecko?

— O Panie, to długa historja. Siedm lat temu przyszła tu jakaś młoda pani, prosząc, byśmy dziecko przyjęli na wychowanie, obiecując płacić sowicie. Lecz gdzie tam! Czasem to coś posłała, a nieraz to i grosza nie stało! Takie to niby państwo od niej biło, — ot, pozłacana nędza! Poszła gdzieś na służbę i tyle ją widziałam! Bodaj dwa razy tu była przy dziecku, które zda się bardzo kochać, mała podobniuteńka do niej, i pewnie będzie nie lepsza, bo to leniwe a harde, że Boże broń!

Nieznajomy już nie słuchał, przywołał małą do siebie, a gdy zbliżyła się nieśmiała i drżąca, ujął jej rączyny, spojrzał w jasne szczere oczęta i pogładził drżącą ręką po złotej zwichrzonej głowie.

— Jak ci na imię dziecko?

— Lutka!

— A mamusi jak, i nie wiesz gdzie ona?

— Nie wiem panie. Ale mamusia daleko, bo jak tu była ostatni raz, to mówiła, że daleko i że nie zawsze ma tyle pieniędzy, by tu przyjechać, lecz jak zbierze więcej, to tu przyjedzie i mnie zabierze. A na imię jej Kazia! i mówiła, że mam tatusia i kazała mi go kochać i modlić się, by tatuś do nas wrócił.

Podróżny słuchał opowiadania dziecka z widocznem wzruszeniem, a nie chcąc zaraz zdradzić, odprawił ją łagodnie, spytawszy, gdzie sypia?

Zanim północ nadeszła w zajeździe wszystko się uciszyło, podróżny nie spał. Podniósł się i po cichu wymknął się z pokoju i poomacku trafił do miejsca, gdzie stał w komórce barłóg, na którym sypiała Lutka. Ziąb tam był, mała nie spała również, siedziała na tapczanie skulona, owinięta w starą derę. Nie zdziwiła się, gdy wszedł. Usiadł przy niej i kazał jej sobie opowiadać wszystko, co wie o matce. Lecz dziewczynka nie wiedziała wiele i tylko na pytania odpowiadała.

— A źle ci tu dziecko?

— O! bardzo mi tu źle! Gospodyni bije mnie, i łaje, ciągle muszę robić, a dobrego słowa nikt nie da.

Nieznajomy słuchał ze wzruszeniem, a gdy dziewczynka mówiła o biciu, oburzenie odmalowało się na jego twarzy, — kipiał!

— Jak ona śmie! — ta baba!! — mruczał.

Dziewczynka mówiła dalej:

— Raz tylko, gdy mamusia przyjechała, dali mi ładną sukienkę i robić nie kazali. Wtedy, pamiętam, mamusia przywiozła mi dwie ładne sukienki, lecz gdy mamusia odjechała, gospodyni zabrała mi je i ubrała Helę i Franię.

— Czy bardzo cię kocha twoja mamusia?

— Bardzo mnie kocha, moja mateńka, gdyby tu była, nie dałaby krzywdzić swojej Lutki! Raz, gdym bardzo zachorowała, a mamusia nie miała pieniędzy na lekarstwa, to poszła do dyntysty i dała sobie wyrwać dwa przednie sieczne ząbki i sprzedała mu je! a takie miała ładne. A gdy to nie starczyło, to sprzedała fryzjerowi swe warkocze! A takie miała cudne złociste włosy, aż mi żal! Gdy tu była przed moją chorobą, tom się zawsze pieściła temi warkoczami. Mamusia mi nie mówiła, że to dla mnie poświęciła, ale ja wiem, bom słyszała, jak gospodyni o tem opowiadała. Jam wtedy była bardzo chora i niewiele pamiętam, lecz to wiem, że wtedy była sroga zima. Gdy mamusia znów przyjechała, jak ozdrowiałam zupełnie, to już nie było tych ząbków ani warkoczy. I żal mi było, a mamusia mówiła, że ją bolały, a to nie prawda, panie, bo je dyntysta kupił.

— A długo chorowałaś moje dziecko?

— Ja nic nie pamiętam. Mamusia opowiadała, żem długo i bardzo chorowała, aż pieniędzy nie stało na doktora i aptekę, a potem, gdym już była bliską śmierci, to mamusia wzięła moją koszulkę i zaniosła do św. Mikołaja, a potem to już ozdrowiałam. Czy pan wie o tym św. Mikołaju?

— Słyszałem dziecko, w Pierscu (na Śląsku), ma być figura św. Mikołaja cudowna, o której mówią, że ją heretyki wywozili, a ona zawsze wracała, aż go znów wywieźli i nogi mu ucięli, a on takoż wrócił już bez nóg (autentyczne) i odtąd już go zostawili w spokoju i odtąd stał się cudownym.

— Czy to ten?

— Tensam, panie, a prawda to, że grzeczne dzieci co roku otrzymują podarunki od św. Mikołaja?

— Prawda! moje dziecko.

— To czemu ja nic nie otrzymuję? Co roku obie dziewczynki gospodyni stawiają swe trzewiczki w kominku i zawsze co rana znajdą pełne zabaw, a w moich pantofelkach nic niema! Widocznie św. Mikołaj nie jest ze mnie zadowolony. Ach, i jutro znów św. Mikołaja, — uważa pan? i pewno znów nic nie dostanę, a to tak smutno, panie.

Podróżny słuchał rozrzewniony tego szczebiotu dziewczynki, pochylił się nad nią i ucałował w czoło, a potem rzekł:

— Śpij spokojnie dziecko, i ty odebrałaś od św. Mikołaja wielki dar: dar zdrowia! a teraz nie bój się, jutro otrzymasz znów wielki dar: św. Mikołaj przyprowadzi ci ojca! A potem już razem poszukamy mamusi i już cię nikt bić nie będzie, bo kochać cię będzie tatuś i mamusia.

Marja Wawrzykówna.

UROCZYSTOŚĆ ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA.



Ileż to przyjemnych wspomnień mają ludzie starsi, gdy zbliża się dzień świętego Mikołaja. Przypominają sobie te dawne, a może i niezbyt dawne chwile, gdy w dzień ten po przebudzeniu się znajdywali pod swojemi poduszkami, lub obok łóżka nieraz bardzo miłe, choć może najmniej spodziewane podaruki. Przypominają sobie dni bezpowrotnie minione, rozkoszują się nimi i niejako przeżywają je nanowo. Ileż wspomnień, ile złud nieuchwytnych... Było to wszystko, przeszło, minęło, jak tyle innych rzeczy mija na tym świecie...

A i teraz gdy nadejdzie dzień 6 grudnia, gdy już sami swoją radością cieszyć się nie mogą, to cieszą się szczęściem tych maleńkich, które dospać nie mogą z ciekawości co im też święty Mikołaj przyniesie. A i z świętym Mikołajem bywa tak, jak ze wszystkiem w życiu. Jednych obsypie on hojnymi dary, innych obdarzy zaledwie skromnym podarunkiem. Lecz nie w ilości i wartości otrzymanych darów leży ich cena właściwa; ważniejsza tu myśl, ważniejsza intencja, z jaką zostały ofiarowane. A są i tacy, a takich większość, iż dzień ten przeminie bez żadnych dla nich upominków. Czasem myśl serdeczna, słowo przyjacielskie, jedno wejrzenie może zastąpić, a nawet przewyższyć najcenniejsze dary. Niechże więc, gdzie już jest taki zwyczaj, będą i nadal te dary, ale niech one nie będą tylko dlatego, iż tak zwyczaj każe, ale dlatego, że to jest serca nakazem.

U nas, w Polsce, dzień ten należy do najradośniejszych dni w roku, szczególniej po miastach. Pominąwszy już te podarki, jakie dziatwa przy swych łóżeczkach znajduje, to wiele radości sprawia im również ten święty Mikołaj, którego czy to na ulicy, czy w szkole spotkają. Cieszą ich ci Aniołowie, którzy zwykle świętemu towarzyszą, a nie przestraszają djabły, którzy, wyprawiając harce rozmaite, tego i owego rózgą obdarzą.

Na obrazku naszym widzimy świętego Mikołaja, jadącego na siwym koniu, z brodą, jak koń jego siwą, otoczonego dziatwą, wyciągającego ręce po podarunki, które im święty Mikołaj szczodrze rozdaje.

W noc św. Andrzeja.

Susza panowała od kilku dni; nie potrzebowała wprawdzie ziemia wilgoci, ni dla zielonej runi zbóż, ni dla świeżej trawy i barwnych kwiatów. Ale przecie tęskniła za czemś miękkiem, białem, któreby ją otuliło i ochroniło przed silnemi mrozami. Przejechał już św. Marcin w dal, z pod kopyt wronego konia sypnęły się iskry, a z rękawa Świętego powiała pustka listopadowym, smętnym wichrem, jeno siwa biel spóźniła się gdzieś po drodze. Mroźno i jakoś ciężko było w powietrzu, leniwie szumiała nadniemeńska puszcza w oczekiwaniu czegoś. A to coś zda się orlemi skrzydłami gnało ku ziemi, był to pierwszy śnieg, z którym obiecywał przyjechać św. Andrzej. Zmierzch już otulił drzemiącą ziemię. Hen od niebiosów zerwała się gromada białych ptaków i cicho przypadła do ziemi, za niemi pobiegły inne i jeszcze inne, i świat boży zaroił się od ich białych skrzydeł. Padały coraz gęściej, przenikały gałęzie drzew, dobiegły na małą polankę w głębi lasu i zaglądnęły w okienko leśniczówki. Przy zamarzniętych szybach siedziała młoda dziewczyna, wsparłszy na dłoniach głowę. W białych płatkach śniegu topiła swą tęsknicę, dumała o kochanku, oddalonym od niej gdzieś na polu walki, marzyła o serdecznym swym Franku. Spodziewała się już od kilku dni jego powrotu z pola chwały. Niestety, niema go. Ale może św. Andrzej powie coś o jego losie.

Wstała żwawo od okna i wyszukała na dnie skrzyni kawał wosku. Skwapliwie zabrała się do topienia, przy blasku płonącego na kominku łuczywa i z zapartym oddechem śledziła układ wosku na wodzie. Jakaś martwa cisza panowała wokół niej, przerywana jeno trzaskiem płonącego drzewa.

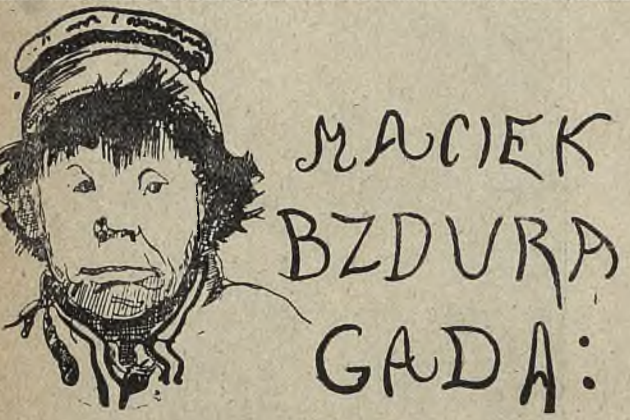
— Wreszcie — szepnęła i z uwagą poczęła wpatrywać się w dziwnie utworzony obraz. Czarne jej brwi zbiegły się niecierpliwie. — Co to znaczy? — zapytywała siebie. — Czyżby? Nie... to rzeczywistość... na powierzchni wody żółta plama, a na niej wyraźnie odbijają się jakieś połamane miecze, stratowani ludzie, konie, nieochybnie pobojowisko.

— Ale gdzie mój Franek? — szepcze zbladłemi wargami. Powtórnie leje wosk drżącemi rękoma, gorączkowe rumieńce biją na jej twarz. Raptownie zbladła, a oczy rozszerzone trwogą ślizgały się martwo po wodzie. Z wosku utworzyła się najwyraźniej mała łączka, wśród której drzemała cicho mogiła ze skromnym żołnierskim krzyżem.

Ogień przygasł na kominku, wiatr zawiał ponuro, uderzył w okiennice, a pod domem ozwały się

męskie kroki. Dziewczyna drżąca zbladła, oczekiwałą złej wieści. W tem drzwi się otwarły i z futrzanego kołnierza, żołnierskiej, ubielonej śniegiem czapki, wychyliła się szczera, uśmiechnięta twarz Franka.

Wo-nka.



Powiadają niktórzy ludzie, ze po wojnie takie sknyrstwo wyrobiło się na świecie, ze aze brzydko. Zadna dusa zadnemu człekowi nic za bezdurno ochwiarować nie chce, za wszyćkoby ino wszyscy piniądze brali, a tu znowu samemu tych pieniędzy robić sobie nie wolno i taka juz bida na świecie. Najlepiejby było w Polsce, zeby my se wybrali z pośród siebie jakiego cysarza, jak to byli dawniej cysarzowie i zeby ten cysorz raz na zawse pozwolił kuzdemu, coby se mógł narobić tyle piniędzy, ile mu się ino będzie podobało. Ale gadaj tu z ludźmi! Powiedzą ci, ze to rzec niemożliwa, ze taki cysarz toby kostował kupę piniędzy, ze jakby miał choć trochę oleju w głowie, toby było jesce pół bidy, ale jakby się tak trafiło na jakiego jołopa, toby kuzden złoty był na bezdurno wyrzucony i tak dalej.

Mnie się widzi, ze to wszyćko to ino próżne gadanie. Jeśli nas stać było na 444 bylejakich posłów i 111 senatorów, to czyzby nas nie stać było na jednego porządnego cysorza? Jezeli my mamy dość drobnych na utrzymanie 555 ludzi, którzy przecie nie jadają jałowych zimiaków, tobyśmy nie potrafili wychować jednego cysarza? A jakby chodziło o zarcie la niego, tobyśmy przecie nie musieli wybierać takiego długiego na dwa metry, ale: dwułokciowyby wystarcył. Zreśtą łatwiej jedną gębę zapchać, jak 555.

Obawa, zebyśmy mogli wybrać se cysarzem jakiego gamonia, takze mi się nie widzi. Jeśli my teraz w sejmie i senacie na 555 luda mieli jakie ze śtyry stówki gamoniów, to jeden mniej, abo jeden więcej takzeby nic nie zaskodził. A zreśtą, cyby my to z takiem cysarzem ślub brali? Jakby się nam nie widział, to jazda z niem na zieloną trawkę i koniec.

A przecie jakby był cysarz, to byłoby wiadomo, do kogo się udać. A tak jedźze cłeku do Warsiawy i próbuj co załatwić. Jeden minister odsyła do drugiego, a ten do szewca departamentu, a tamten do sekretarza, a ten znowu do inksego pierona i dopiro jak buty do cna zedrzes, to się dowis, ze zaden z nich ni ma mocy, aby twoją sprawę załatwić. Co inksego podatki, to za tem nie trza bardzo chodzić, bo sekwestrator nawet pod pierzyną cię znajdzie.

Jakby był cysarz, to byłoby wiadomem, ze mógłby on wszyćko, co ino potrzaby było człowiekowi, załatwić. A więc i do robienia piniędzy wydałby taki befel, coby se ich kuzden mógł narobić tyle, ileby mu ich było potrzeba, i nie byłoby tej bidy, jaka jest teraz na świecie, i nie byłoby tego sknyrstwa, jakie jest jesce dzisiaj.

Bo pomyślcie sobie ino dobrze. Jak powiadali wójt z Psi Wólki w zesłą niedzielę przy kościele, jest podobno w kraju około 30 miljonów ludzi razem z zydami. I myślicie, ze mi duzo z tego, ze ich tyle jest na świecie? I zeby nie bracisek January z Brzezan od księzy Bernadynów, który mi przysłał pudełko jabłek na pociesenie, toby cłek od godów do godów musiał się zywić samemi zimniakami i kapuchą i owocu rajskiegoby nie skostował. A jakby byli tak na świecie ludzie nie kutwy, a kuzden z nich juz nie pudełko, ale jedno jabłusko co dzień przysłał, ileby to było tych miljonów jabłek i jakby se to ućciwie cłek na tem świecie zywot naprawił. A jakby kto ni miał jabłek, to niechby przysłał i inkse jakie stworzenie, bom ja ućciwy katolik i wiem to od samego jegomości, ze nigdy darami Bożemi gardzić nie trzeba.

Jakem to wszyćko mojej gospodyni powiedział, to oni mi na to:

— Jak chces, psiaparo, zryć, to se kup.

Łatwo to pedzieć: kup se! ale gdzie piniądze, gdzie cysarz? A z posłów to nam co? Cy dał wam który poseł po wyborach choć niucha tabaki? Bo mnie nie! Jesce przed wyborami to tam jeden lub drugi choć „cienkiego“ do twarzy wepcha, ale po wyborach to się z kuzdego robi taki hrabie, ze bez kija poświęcanego do niego nie przystępuj. Przed wyborami to choć ućci twoje usy i będzie cię obywatelem nazywał, ale po wyborach, jak ino dostanie za bezdurno frajkartę kolejową, to się na ciebie chyba ino tem okiem popatrzy, co je ma pod plecami.

A jakby był cysarz, to i o patrzenie nie rozchodziłoby mi się. Miałbym tyle piniędzy, zebym drobnemi mógł i za Kaśką ciskać.

Oj zebym ja miał piniądze! Kupiłbym se faję na długiem cybuchu, kupiłbym se barchanowe portki i inną przyodziwę, a nawet krawatkę i nie chodziłbym z nagą syją na zgorsenie wszyćkich dzieuch z całej parafji, jak to robią wójt z Wirzchosławic Wincenty Witos. La Kaśki kupiłbym perfum, coby tak od niej na śtyry mile stajnią nie zalatywało, la gospodarza kupiłbym lagę, coby mieli casem uspokoić cem swoją rodzącą gospodynię, a la gospodyni kupiłbym kłodkę do zamykania jem jadacki i ino trzy razy na dzieńbym ją odmykał: na śniadanie, obiad i wiecerze.

Wszyćkobym to zrobił, gdybym miał piniądze, a miałbym piniądze, gdyby był cysarz, a byłby cysarz, gdybyście ino wy chcieli. A ze wy nie chcecie, to sami sobie jesteście winni, ze ja jak cierpiałem, tak i cierpiał będę biedę ku całego świata utrapieniu.

Myśli.

Człek z natury szlachetny, lecz nie okrzesany,
To jak kamień szlachetny, nie oszlifowany.

☆

Z kokona piękny motyl budzi się w swym czasie,
Że z grobu żyw powstaniesz, nie bądź w ambarasie.

☆

Jak w słońcu tkwi pierwiastek światła, ciepła, życia.
Tak w Bogu, Ojciec, Syn, Duch, Trójcy tajemnica.

☆

Smaczny ogórek kwaśny, kapusta kiszona,
Lecz nie smaczne małżeństwo, gdzie kwaśny mąż, żona.

Piotr Wenc.

KLEMENS JUNOSZA

Abraham Pinkt i Mateusz Sikora.

Po trzech dniach Mateusz znów przyjechał i przywiózł ładne, lśniące skórki z dwóch wyder. Abram wydał okrzyk zdziwienia.

— Już? — zawołał.

— A juści, miałem czekać do żydowskich Trzech Króli?

— Wy chyba ze złym duchem macie spółkę.

—Ej, nie bajać, jeno wydry brać i płacić... skórki są piękne, a zachodu kosztowały nie mało...



— Gdzie wasze słowo, Mateuszu? — we worku!

Po tej tranzakcji nastąpiła druga, dalej trzecia, dziesiąta i tak przez całą zimę i przez następnych kilka.

W zgodzie przykładnej był zawsze Abram Pinkt z Mateuszem Sikorą. Chłopu nie uszło żadne żywe stworzenie; które tylko podpatrzył, wyśledził, wyszpiegował, to dostał. Zdradą, podstępem, siatką, samołówką, strzałem, w dzień lub w nocy Mateusz ofiarę swoją zabierał. Abram nieraz myślał, że Mateusz to nie jest prawdziwy Mateusz, ale anioł śmierci dla zwierząt dzikich, tak jak rzeźnik dla swojskich... Abram z taką pewnością nie sięgał do własnej kieszeni po pieniądze, jak Mateusz do cudzego lasu po zwierzynę. Była to zaprawdę śliczna spółka, oparta na pewnych, niewzruszonych fundamentach. Czasem przeszkadzał rozwojowi interesu sąd... zawsze chętny do dawania ucha złośliwym podszeptom... Zwykle w takich przypadkach niewinność wychodziła z trjumfem, ale raz stało się takie brzydkie zdarzenie, że Mateusz dostał się na pół roku do kozy... ani jednego dnia nie darowali mu, musiał odsiedzieć całą porcję co do godziny.

Przez ten czas zwierzyna w okolicznych lasach rozmnożyła się bardzo, a Abram nie miał zupełnie czem handlować, przymierał głodu, stracił humor i opinję sławnego i punktualnego dostawcy, a grubszy liwerant skórek napisał do biednego Abrama dość przykry list, w którym wcale nie dwuznacznie dał do zrozumienia, że potrzebuje ajentów czynnych, ruchliwych, energicznych, nie zaś niedołęgów, umiejących tylko fajki palić pod piecem i rozmyślać nie wiadomo o czem.

Było to Abramowi bardzo przykro i utwierdziło go w przekonaniu, że świat jest co się zowie paskudny, a ludzie źli, że nie pamiętają o zasługach już położonych a licznych, lecz żądają nowych i jeszcze liczniejszych, dziesięć razy liczniejszych. Jest w tem akurat tyle sprawiedliwości, ile puszystej sierści w wyleniałej i na szczęt zjedzonej przez mole skórce.

Abram, do najwyższego stopnia oburzony, odpisał liwerantowi, że stagnacja w interesie jest chwilowa, spowodowana przez siłę wyższą; że przed upływem terminu zaradzić złemu nie można, a zarazem zaproponował liwerantowi, żeby go nauczył, w jaki sposób można kupić skórkę z zająca, który nie jest zabity i cieszy się zupełną swobodą.

Niech przyjdzie i niech kupi, kiedy jest taki wielki mechanik do handlu! Przekonałby się zaraz, że handel z Mateuszem jest interes, bez Meteusza zaś nic nie znaczy .Wprawdzie Koguciński też miewa niekiedy co do sprzedania, ale z Sikorą w porównanie nawet nie idzie.

Tamten jest chłop rarytny, prawdziwy łowiec!

Nie mógł się doczekać Abram powrotu swego przyjaciela, a zarazem ustania szkaradnej stagnacji. Z konieczności musiał próbować innych geszeftów, trudnić się takim handlem, do jakiego wcale nie był przyzwyczajony. Trafiło mu się kupić bardzo tanio srebrny lichtarz. Kupił go bez namysłu, bo i dlaczego miałby nie kupić?

Lichtarz był porządny, nie zanadto wysoki, ani zbyt nizki, średniej wielkości w samą miarę... Używał go Abram tylko w święto i cieszył się, patrząc na tak piękny a niedrogi nabytek. Obiecał najmłodszej córce, że jej da ten lichtarz w posagu i dziewczyna pyszniła się już naprzód z tego bogactwa, tem bardziej, że wszystkie prawie jej towarzyszki zaledwie marzyć mogły o mosiężnych...

Któż zgadnąć może, jakich sposobów używa szatan, aby sprowadzić na człowieka nieszczęście. Nie żałuje on na ten cel ani brylantów ani złota — cóż dopiero mówić o srebrze.

Wróg ludzi bogaty jest; nie mógł dostać się do Abrama przez skórki, osiągnął cel przez srebrny lichtarz...

Kiedy odsiadywał swoją pokutę w kozie, na Abrama spadło też nieszczęście... Odwiedziła go policja i przyczepiła się do lichtarza. Zabrali go jak swoją własność; przytem narobili plotek, że to lichtarz kradziony, że jakiemuś obywatelowi złodzieje ściągnęli takich sześć, a oprócz tego srebrne łyżki, widelce, noże i inne kosztowności.

Prawda szczera jest, że lichtarz Abram kupił, a oni wyobrazili sobie, że Abram wszystko kupił... zaczęli dopytywać o łyżki. Abram był człowiek rzetelny, chodził prostą drogą, pokazał tym napastnikom wszystkie swoje łyżki cynowe i blaszane, piękne łyżki, ale wcale nie srebrne; policji to było za mało, chciała koniecznie wiedzieć gdzie są srebrne... chciała wiedzieć kto lichtarz sprzedał, jak wyglądał, czy był stary, czy młody, chłop, czy żyd, czy cygan?

Albo człowiek może pamiętać od kogo kupił! Kupił i dość, zapłacił i interes skończony. Rzecz taka prosta, a jednak, jak się pokazuje, nie dla wszystkich zrozumiała. Oprócz policji przyczepił się do tego lichtarza i sędzia śledczy; wzywał Abrama do siebie, dopytywał bardzo delikatnie, grzecznie, uśmiechał się przytem... Całkiem przyjemny człowiek, tylko ogromnie ciekawy, gotów pytać ile człowiek ma guzików u kapoty, włosów na brodzie... Ciekawszy niż nie jedna stara żydówka. Rozmawiał z Abramem kilka godzin, trochę przytem pisał, a potem powiedział: „bądź pan zdrów“, „do widzenia“ i pozwolił jechać do domu.

Abram nie dał sobie tego dwa razy powtarzać, i wprawdzie nie pojechał, ale poszedł do domu piecho-

tą, na swoich własnych nogach... O lichtarzu całkiem ucichło i byłby Abram o nim zapomniał, gdyby nie najmłodsza córka, która coraz głośniejszym lamentem wyrażała swój żal i zawiedzione nadzieje.

Mateusz pewnego wieczora pokazał się w miasteczku. Był jeszcze bardziej ponury i bardziej milczący niż dawniej. Patrzył w ziemię, ludzi unikał.

Do drzwi Abrama zapukał może więcej z przyzwyczajenia, aniżeli z potrzeby. Abram powitał go okrzykiem pełnym radości, ale to nie rozpogodziło czoła chłopa. Usiadł na ławie, podparł głowę na dłoni i przez doś ćdługi czas milczał.

— No, Mateuszu — wołał Abram, — słuchajcież Mateuszu, czyście tam mówić zapomnieli? Powinniście si ęcieszyć iradować, że już jesteście na swobodzie, a wy tak wyglądacie, jakby wam najpiękniejsza krowa zdechła... Odsiedzieliście już swoje, teraz możecie pracować...

— Odsiedziałem niesprawiedliwie — rzekł Mateusz.

— Aj, moi kochani, co to gadać... Sprawiedliwie czy niesprawiedliwie, jednakowo się siedzi...

— Ja tam złodziejem nigdy nie byłem...

— No, ja też nie byłem, a przecie miałem taki kram, taki kłopot i o co? o srebrny lichtarz, który za swoje własne pieniądze kupiłem. Świat jest paskudny, ale czy dlatego, że on taki, nie handlować skórkami, nie kupić, jak się co trafi?

— Do kryminału byle za co pakują...

— Nie myślcie wy o tem... już co was miało boleć to przebolało... teraz nie boli... Teraz wyście powinni zabrać się do roboty, zapłacić sobie za cały czas...

Chłop spojrzał z pode łba.

— Jušci zapłacę ja... tylko mądrzejszy będę... drugi raz złapać się nie dam...

Mateusz święcie dotrzymuje słowa... Poluje jak lis, cicho, podstępnie, skrycie, dąbki wywozi, ale jeszcze zgrabniej, niż wpierw. Wypowiedział bitwę gajowym i wychodzi z niej zawsze zwycięsko...

Abram za ów nieszczęsny lichtarz także swoje odsiedział, bo na tym świecie trzeba się do samej śmierci ostrożności uczyć.

Obadwaj filozofowie nasi zmężnieli duchem; nabrali więcej wiedzy praktycznej i doświadczenia. Gdy się zejdą czasem lub gdy odbywają podróż wspólną, wymieniają między sobą myśli i toczą spory. O nieśmiertelności, o życiu zagrobowem mówią mniej, bo co do tego mają poglądy wprost przeciwne, ale kwestja używania darów przyrody, kwestja bezwzględnej wolności handlu zajmuje ich bardzo często...

Mateusz dowodzi, że człowiek ma prawo polowania we wszystkich lasach kuli ziemskiej. Abram twierdzi znów, że człowiek ma bezwzględne prawo handlu wszelkim towarem, jaki na świecie jest, i to ich obydwóch boli, że sądy zapatrują się na te sprawy zupełnie inaczej...

KONIEC.

Miłość



Każdy na świecie coś kocha szczerze,
Czego mu żadna moc nie odbierze.
Choć się świat wzburzy, ruszy powietrze,
Szczerej miłości z serca nie zetrze.

Szczerej miłości nie wstrzymasz w locie,
Że On to kocha czuje w tęsknocie.
Kto silnie kocha swego anioła,
Nikt jego woli złamać nie zdoła

A taka siła jest w tym wyroku,
Nawet ogniki te świadczą w oku.
Kto kocha szczerze, a nie zdradziecko,
Miłość przemienia olbrzyma w dziecko

Maryśka z Kamionki.

MAKSYM GORKIJ.

Chan i jego syn.

Wolny przekład Juljusza Prusa.

Panował w Krymie chan Mosałajwa el Ahwab, który miał syna Talaik Alhalla. Chan był stary, ale miał wiele żon w swoim haremie. I one wszystkie kochały starego, bo nie zamarła w nim jeszcze siła i ten młodociany żar; jego pocałunki były namiętne i gorące, a kobiety zawsze będą kochać tego, który gorąco pocałować umie, niechajby był pomarszczony i stary.

Siłę stanowi piękność wewnętrzna, a nie wypielęgnowana skóra i farbowane lica. Więc wszystkie kochały chana, lecz on kochał jedną z nich: kozaczkę ze stepów z nad Dniepru. W niej znachodził pogodę życia swego starczego, ją jedną uszczęśliwiał pocałunkami: ją jedną, z pośród trzystu żon, swego ogromnego haremu. A harem był piękny: Trzysta pereł go zdobiło i żyło w swobodzie, albowiem chan pozwalał smakować się w ucztach, szatach i tańcu. Tylko ze swoją kozaczką, przebywał w ukryciu na wieży, z której roztaczał się rozkoszny widok na morze, a w której zamknął wszystko, co mogło uszczęśliwić kobietę: słodycze, przeróżne tkaniny, różnobarwne klejnoty, muzykę, ptaki z dalekich krajów — i swoje gorące serce.

W tej wieży przesiadywał z nią całymi dniami i spoczywał w miłości po trudach swojego długiego żywota. Wiedział, że syn jego Alhalla nie przyćmi sławy chana, bo syn ten napadał jak wilk na ruskie stepy i wracał z bogatym łupem, z nowemi brankami, z nową sławą, zostawując za sobą wszędy zgliszcza i postrach.

Raz powrócił był Alhalla z wyprawy na stepy i na jego cześć urządzono igrzysko, na które zaproszono wszystkich ostrowskich książąt tatarskich. Zgotowano uczty i zabawy, strzelano z łuków w oczy brańców, dla wypróbowania zręczności ręki, pito i chwalono bez przerwy odwagę Alhalli.

A stary chan cieszył się sławą swego syna. Sprawiało mu to niewysłowioną radość, że mógł widzieć w potomku swym męża odważnego, w którego silne ręce przejdą rządy po jego śmierci. Jednem słowem, potężna radość rozpierała serce starego chana, a chcąc okazać synowi miłość swą ku niemu, przemówił z pucharem w ręku, przed całym swym dworem...

— Tyś dobry syn mój Alhallo! Niech błogosławionym za to będzie Allah i jego prorok!

I wszyscy chórem podnieśli imię proroka, poczem mówił chan dalej:

— Allah jest wszechmocny! Jeszcze za mego życia przejawił moją młodość w moim dzielnym synu i ja swemi staremi oczyma już widzę, że żyć w nim dalej będę, gdy zamkną się oczy moje i robactwo serce moje toczyć będzie. Allah jest wszechmocny, a Mohamet prawdziwy jego prorok! Mam dobrego syna. Silną on ma rękę, dzielne jego serce i roztropny umysł! Co chcesz odebrać z rąk twojego ojca Alhallu? Proś, a w tej chwili danem ci będzie, cokolwiek zażądasz.

Jeszcze dobrze nie przebrzmiał głos starego chana, gdy z trybuny podniósł się Talaik Alhalla i rzekł z błyskiem swych czarnych oczu:

— Daj mi twoją kozaczkę ojcze mój i panie!

Chan zamilkł na chwilę, na tę chwilę, której trzeba na odzyskanie tętna, a potem zawołał gromkim głosem:

— Weźmij ją sobie!

Zarumienił się dzielny Alhalla, zaświeciły radością jego orle oczy, podniósł się i rzekł do chana-ojca:

— Wiedziałem, że ty mi ją darujesz ojcze i panie. Wiedziałem to! Jam twój syn i niewolnik. Upuszczaj kroplami krwi mojej choćby co godzinę, jam i dwadzieścia razy gotów zginąć za ciebie!

— Ach! niczego mi już nie trzeba — jęknął chan i jego siwa głowa, uwieńczona sławą wielu lat i wielu czynów opadła mu na piersi. Tak zakończyło się igrzysko i oni obaj milcząco przeszli z zamku do haremu. Była ciemna noc. Gęste chmury zawisły na niebie, niby czarny kir, zakrywając sobą i księżyc i gwiazdy. Długo tak szli, ojciec i syn, milcząco w pomroce tej ponurej nocy, aż w końcu rozpoczął mówić chan:

— Więdnie moje życie z dnia na dzień, czemraz słabiej odzywa się moje stare serce i coraz bardziej słabnie w mojej piersi ogień. Tylko jeszcze ta kozaczka, oto światło i ciepło mojego życia... Powiedz mój synu, czy ty tak bardzo tęsknisz za nią? Weźmij sto, ba, wszystkie moje żony zabierz, a zostaw mi ją jedną, jedyną.

Talaik Alhalla westchnął milczkiem.

— Ileż dni pozostaje mi jeszcze do życia? Ileż dni nosić mnie będzie jeszcze ta ziemia? Ale ostatnią pociechą dni moich, jest, ta oto kozaczka. Ona wie o tem i kocha mnie... kocha mnie mój synu! Któraż oprócz niej pokocha starego? Ani jedna, ani jedna Alhallu!

Syn milczał, a stary mówił dalej:

— Jakżeż ja mogę żyć, wiedząc, że ty ją pieścisz, całujesz? Bo wobec kobiety, wobec jednej kobiety nie istnieje ni ojciec ni syn, wobec miłości myśmy tylko mężczyznami. Lepiej, iżby się otwarły wszystkie rany na mem ciele i krew z nich ściekała, lepiej, abym był nie dożył tej nocy, ach! lepiejby było dla mnie mój synu!

Syn milczał... Długo stali przed bramą haremu, smutnie pochyliwszy głowy. A wokoło tylko noc ciemna, na niebie kłębiły się czarne chmury, a wiatr między konarami wyśpiewywał swe treny ponuro.

— Ja już oddawna ją kocham — rzekł cicho Alhalla.

— Wiem o tem, ale i wiem także, że ona ciebie nie lubi — odrzekł chan.

— Tęsknota ściska mi serce, na samo jej wspomnienie.

— A cóż ściska teraz moje serce? — spytał chan.

Nie było odpowiedzi, jedynie ciężko westchnął Alhalla. Powiedzenie mądrego muły, że kobieta zawsze mężczyźnie przynosi nieszczęście, zaczęło się sprawdzać; Alhalla począł powoływać się na mądrość owego mułły.

— Mądrość to lek, ale nie na ból serca — dowodził chan.

— Więc zmiłujmy się nad sobą, ojcze.

Chan podniósł głowę i obrzucił syna smutnem spojrzeniem:

— Cóż chcesz zatem?

— Zabijmy ją! — zażądał Alhalla z mocą.

— Ty kochasz sam siebie więcej jak ją i mnie — odrzekł chan po chwili namysłu.

— Ty także.

Znowu zamilkli obaj.

— Tak, i ja także! — odpowiedział smutno chan. — Z wielkiego bolu już prawie zdziecinniałem.

— Otóż, zabijmy ją!

— Ja nie mogę ci jej oddać, nie mogę — mówił chan.

— A ja nie mogę już dłużej wytrzymać bez niej! Wyrwij mi serce, albo mi ją oddaj!

Chan milczał.

— Albo zrzućmy ją ze skały w morze!

— Rzućmy ją w morze — powtórzył chan słowa swego syna, niby złowieszcze echo.

Potem poszli do haremu, w którym spała już kozaczka na miękkiem posłaniu.

Stanęli przy niej i patrzyli, patrzyli długo. Łzy zakręciły się w oczach starego chana i spływały z policzków, na jego srebrną brodę, świecąc jak perły. Syn stał obok z błyskawicą w oczach, zgrzytał zębami, chcąc stłumić ogarniającą go rozpaczliwą namiętność i zgrzytem tym obudził kozaczkę. Otwarła oczy, odsłaniając je niby błyszczące w porannem słońcu kwiaty — prześliczne oczy. Nie zauważyła Alhalli; chanowi nadstawiła swe rumiane usta.

— Pocałuj mnie stary mój...

— Ubieraj się, pójdziesz z nami — drżącym głosem rzekł chan na to:

Wtem spostrzegła Alhallę z wybladłą twarzą i łzy starego kochanka — zrozumiała wszystko.

—Idę — odrzekła — idę... Postanowiliście... ani jednemu, ani drugiemu, tak? Tak przystało mężnym... idę!

Milcząco opuścili harem, udając się nad brzeg morza. Szli wązkiemi ścieżkami, a wiatr huczał i zawodził. Ona była delikatna, męczyła ją ta droga przez skalne wyboje, lecz nie chcąc tego okazać, szła dumnie choć z wysiłkiem. Wszelako pozostawała w tyle, nie mogąc nadążyć. Syn chana, widząc, że zostaje w tyle, zapytał:

— Boisz się?

Popatrzyła na niego swem miłem spojrzeniem, pokazując mu zakrwawioną nogę.

— Ja cię poniosę — rzekł Alhalla — wyciągając do niej ręce.

Lecz ona objęła szyję swojego starego kochanka. Chan podniósł ją jak piórko i niósł na rękach, a ona odchylała zwisające gałęzie, aby nie smagały go po oczach w przechodzie. Nagle syn zawołał:

— Ojcze, puść mnie naprzód, bo jakaś siła, każe mi nóż utopić w twoich plecach!

— Idź! I nie karz cię Allah! Może wybaczy ci myśl twoją rozpaczną, ale ojciec przebacza ci, bo wie, co to miłość.

Naraz rozpostarło się przed nimi, szaro-czarne, niezmierzone morze. Szumiały smutno fale z hukiem obijając się o skały. W tej pomroce i wichrze, strasznie i zimno tam było.

— Bywaj zdrowa! — wyrzekł chan, całując kozaczkę.

— Bywaj zdrowa! — rzekł Alhalla, skłoniwszy się przed nią nisko.

Popatrzyła na szumiące morze, zadrżała w sobie, poczem opiece boskiej się poleciwszy. — Rzućcie mnie! powiedziała. Alhalla rozwarł swe ramiona rozpacznie, podczas gdy chan objął ją silnie, przycisnął do piersi, całował, poczem uniósłszy ją w górę, rzucił ze skały w morze.

Tam szumiały i zawodziły fale, a taki był hałas, że nie słyszeli jej upadku, nie słyszeli najmniejszego krzyku ni jęku. Chan ukląkł i patrzał z góry w ciemność, w tę bezdenną głębię, w tę dal, w której mieszało się morze z chmurami i skąd powiewał wiatr, rozdmuchując srebrną jego brodę. Alhalla stał obok milcząc, ukrywszy twarz w dłoniach. A czas uciekał.

Na niebie rozganiał wicher chmury: ciężkie i czarne one były, jak myśli starego chana, klęczącego wciąż na skale u stóp morza.

— Chodźmy ojcze! — rzekł Talaik.

— Zaczekaj — prosił chan...

I znów tak przeminęła dobra chwila. Dalej szumiały fale na dole i dalej wiatr wyprawiał swe harce wśród skał, świszcząc wśród liści na drzewach.

— Chodźmy ojcze!

— Zaczekaj jeszcze...

Wiele razy jeszcze mówił syn: chodźmy ojcze, ale chan nie ruszył się z tego miejsca, gdzie stracił ostatnią radość swego życia... Jednakże wszystko ma swój koniec. Dumnie i stanowczo podniósł się chan, namarszczył czoło i rzekł:

— Chodźmy!

I poszli, ale po chwili chan zatrzymał się.

— Poco i gdzie właściwie ja idę? Pocóż mi żyć teraz, skoro całe moje życie było w niej? Jam stary już... z serca miłość wydarła, a takie życie jest puste i głupie.

— Masz sławę i bogactwa ojcze!

— Wróć mi jeden pocałunek jej ust, a wszystko inne bierz sobie! Wszystko to rzeczy martwe, jedynie miłość, to skarb żywy. Nie mając miłości, nie ma człowiek życia, smutnie mijają jego dni... Bywaj zdrów mój synu, niechaj w dzień i w nocy ma cię w opiece ręka wszechmocnego Allaha!

I chan zwrócił swe kroki ku morzu.

— Ojcze! — krzyknął Talaik — Ojcze!

Więcej nie mógł krzyczeć, nie mógł mówić, tak jak nie można już nic mówić do człowieka będącego w agonji... Szybkim krokiem wybiegł chan na skałę i rzucił się w morze.

Syn nie był w stanie go zatrzymać. I znów nie było nic słychać, ni krzyku ni jęku, ni łoskotu upadającego ciała... fale tylko szumiały smutnie i wiatr zawodził swe treny.

Długo spoglądał Alhalla w głębie morza, a potem rzekł głośno:

— Ach! Daj mi Allah takie mocne serce!

Tak zeszedł ze świata chan Mosalajwa el Ahwab, a po nim chanem w Krymie został Talaik Alhalla.

INDYJSKA MODA.



Człowiek zapomina nieraz, że najpiękniejszym tworem jest to, co Pan Bóg uczynił, co daje nam sama natura. I często, o jakże bardzo często stara się dzieło Boskie poprawić, udoskonalić, upiększyć. Szczególniej wiele pracy w to wkładają kobiety, a zwłaszcza po miastach, gdyż wiejskie dziewoje nie mają na to czasu. Weźmy na ten przykład te wszelkie fryzurki chłopięce, to posypywanie twarzy mączką, pudrem zwaną, te szminki i róże, czyż to nie jest chęć poprawiania dzieła Bożego? Ale trudno! Lekkomyślny ten zwyczaj przyjął się w świecie i walka z nim próżna.

Zamało tego jednak, to też nasze panie prócz troski o zmianę naturalnej swojej powierzchowności starają się jeszcze swoją śmiertelną powłokę jak najbardziej przyozdobić. I nieraz w tym kierunku cudów dokazują. I bywa tak, że to, co wczoraj było piękne, dziś staje się pogardzonem, a strój dzisiejszy jutro będzie przeżytkiem bezpowrotnym.

Razem z postępem cywilizacji postępuje i moda, a często wyprzedza ona nawet cywilizację. Oto do dzikich Indjan cywilizacja jeszcze nie dotarła, ale moda już tam jest. Wprawdzie odmienna, aniżeli u nas, ale jest. Ot widzimy ją na naszym obrazku. Młoda piękność indyjska naprzypinała świecidełek do włosów i uszu ustroiła nimi nawet nos i zdaje jej się, że jest piękniejszą, aniżeli ją Pan Bóg stworzył. — Taksamo myślą nasze panie.

Gdy kiedyś pójdziesz w dal...

Gdy kiedyś pójdziesz w dal
Mnie będzie Ciebie żal...
Nie ujrzysz wtedy łez,
To będzie męki kres...

Gdy kiedyś pójdziesz w dal,
To wsze wspomnienia spal.
Zapomnij niby głaz,
Żeś kochał w życiu raz...

Gdy kiedyś pójdziesz w świat,
Bądź pomny moich rad:
Więc troskę życia zrzuć,
I mękę serca skróć.

Zapomnij niby głaz,
Żeś kochał w życiu raz,
Gdy Ty odejdziesz w dal,
Mnie pozostanie żal...

Maryla »Widz«.

A kiedy kochasz...

A kiedy kochasz, to bądź mi tą gwiazdą,
Która do szczęścia człowieka prowadzi,
Która zgaduje troskę w życiu każdą
I ścieżki życia swą jasnością gładzi.

A kiedy kochasz, to daj rączkę młodą,
Niech w niej zaczerpnę do prac moich siły...
Bądź życia mego ukojną osłodą
I towarzyszką aże do mogiły.

A kiedy kochasz, bądź moją ostoją,
I życia mego krynicą różaną...
Bądź szczęściem mojem i radością moją:
Kochaj taksamo, jak jesteś kochaną.

Świeć mi, och świeć mi, na jasnym lazurze
I prowadź w życiu, jak gwiazda przewodnia,
Do gwiazd, do szczęścia, a ciągle ku górze...
Bądź przewodniczką biednego przechodnia.

Stanisław Kamyk.

Poradnik gospodarczy.

Domy mieszkalne włościan są rozłożone niepraktycznie i za mało wyzyskane. Przedewszystkiem całą szerokość przechodzi tak zwana sień, a dopiero po obydwu stronach znajdują się: izba główna z piecem kuchennym, za nią druga izba, po drugiej stronie izba lepsza i komora. Włościanin nasz mieszka prawie rok cały tylko w jednej izbie, która służy mu za kuchnię, bawialnię, jadalnię i sypialnię. Prócz członków rodziny przebywają tam kury, pies, kot, króliki, a nawet często cielę zwłaszcza jeżeli w stajni ciasno. Wszystko to mieszka zbite na kupie, a jeżeli Pan Bóg nie poskąpił Swego błogosławieństwa i rodzina jest liczna, to malcy uganiają po izbie, zaglądając w każdy kąt. Weźmy pod uwagę, iż każdy, kto wchodzi i wychodzi, zapomina oczyścić swoje obuwie (o ile je ma), ale zabłocony wchodzi do izby, z czego wywiązuje się brud i powietrze staje się często gorsze niż w stajni. O środkach do odświeżania powietrza nasz rolnik jeszcze ani słyszeć nie chce, bojąc się, aby mu zimno nie było, zaś o mydle, czystej wodzie w miednicy, nie mówiąc o wannie do kąpieli prawie jeszcze nie słychać. Miskę na której spożywa potrawy wspólnie z rodziną, używa na wielkie święta, jako miednicy, ale trafia się to ledwie parę razy do roku, zaś myje się w ten sposób, że nabiera do ust wody i tę wypryskując z wielkim hałasem na dłonie rozciera na twarzy, a czasem nawet na szyi. Mówią, iż cywilzację ludów poznaje się po użyciu mydła; tego używa również rzadko nasz włościanin ze względów oszczędności, i gdybyśmy zużyte mydło do mycia brali w rachubę, to powyższa maksyma wykazałaby, iż niektórzy dzicy są więcej cywilizowani pod tym względem. O myciu zębów, czyszczeniu paznokci na razie nie może być mowy.

W kuchni więc przeważnie zbiega się życie rolnika i jego najbliższych, zaś inne izby często pozbawione są nawet pieców i służą bądź za skład lepszego przyodziewku, a tylko z okazji wesela lub chrzcin bywają nawiedzone. Okna w mieszkaniach małe, niehigjeniczne, tak mało przepuszczają świeżego powietrza, zaś słońca jeszcze mniej. Gdy już duszno w izbie i gorąco, to uchyla się w zimie drzwi do stajni, aby zanieczyszczone powietrze „wyszło", zaś stajenne, dostało się do izby. Nic dziwnego, że w takich warunkach wylęgają się przeróżne choroby często zakaźne, których siedliskiem są owe izby mieszkalne. Choroby te często dziesiątkują mieszkańców, zwłaszcza porą zimną. Dopiero, gdy się ociepli na dworze, zdejmuje się okno, otwiera się drzwi i zdrowotność mieszkańców się poprawia. Dzieci a nawet starzy w czem pracują w tem siedzą w izbie i tak wychodzą na dwór, nie bacząc na złe skutki. Zaś, jeżeli przyjdzie sąsiad lub znajomy, to siada w płaszczu do pogwarki przerywając ją paleniem złego tytoniu we fajce i od czasu do czasu spluwając na podłogę przed siebie. Zwrócić takiemu uwagę, niech Pan Bóg broni! gdyż przybyłby ci nowy wróg, zaś o tem, iż tak nawet dzicy ludzie nie robią, szkoda mówić, gdyż nie zdaje sobie z tego sprawy co robi. Wogóle o prymitywnych zasadach higjeny nie jest jeszcze ogół naszych wieśniaków poinformowany i tu piękne zadanie, otwiera się do pogadanek w kółkach rolniczych, czytelniach na ten temat.

Połączenie domu mieszkalnego ze stajnią jest jeszcze mniej wskazane, a jednak tak powszechne u nas po wsiach.

Najracjonalniej byłoby tak budować budynki, aby, stojąc każdy z osobna, tworzyły czworobok zamknięty podwórzem.

Urządzenie mieszkania należy do gospodyni, i zależne jest od bogactwa mieszkańców. Ale nawet najuboższe mieszkanko można tak urządzić, aby było czyste, zdrowe i odpowiadało pewnym warunkom higjenicznym.

Utrzymywanie mieszkania w porządku, nie pozwolenie na panowanie w mieszkaniu muchom, to jeden z pierwszych warunków.

Dostęp świeżego powietrza i słońca niczem niehamowany to drugi warunek.

Czyszczenie mieszkania polega u nas na gruntownem oczyszczeniu, wybieleniu ścian, wyszorowaniu wszelkich statków gospodarskich, ale często zapomina się o zrobieniu prymitywnego porządku w stajni, piwnicy, na strychu i w różnych zakątkach domowych, które są wylęgarnią różnego robactwa.

Wielkie czyszczenie odbywa się w jesieni, na wiosnę, zaś gospodynie urządzają mniej gruntowne robienie porządków prawie w każdy tydzień przed niedzielą.

Obecnie sprawa urządzenia mieszkań zaczyna przybierać coraz lepsze widoki, wpływ powracających z emigracji naszych wychodźców, którzy za granicą widzieli i nauczyli się inaczej mieszkać, odbija się w urządzeniu mieszkania z zastowaniem zdrowotnych potrzeb mieszkańców.

Również przypływ obcych kapitałów do kraju odbija się wznoszeniem coraz większej liczby budynków, tak pod względem estetycznym jak i higjenicznym, godnych narodu tak wielkiego, jakim my jesteśmy.

Jan Matysik.

Poradnik lekarski.

Influenca (grypa). Choroba ta stała się w ostatnich latach epidemiczną. Przyczyny jej leżą głównie w bakterjach zakaźnych i silnem zaziębieniu. Objawy: nagłe dreszcze febryczne i wysoka temperatura, albo stopniowe niedomaganie z powolną gorączką. Główną zaś oznaką tej choroby są silne boleści w głowie i członkach. Prócz tego istnieje jeszcze: nieżyt, chrypka, katar oskrzeli i czasami też zapalenie gardła i migdałów. Bardzo często z grypy wywiązują się różne choroby, z których najcięższą jest zapalenie płuc. Zabiera ono liczne ofiary wśród ludzi. Leczenie: znakomite usługi oddaje użycie salipiryny, piramidonu i aspiryny. Przy wysokiej gorączce należy robić regularne okłady zimne. Przy lżejszych wypadkach influency jest kąpiel parowa bardzo skuteczną.

Odciski. Odciski, czyli rogowe zgrubienie naskórka powstają przez trwały nacisk głównie na palcach nóg. Znakomitym środkiem jest plastron t. zw. kit pszczelny oraz plaster turystyczny. Skuteczne również są kąpiele nożne z owsianki i prósza sianowego. Także i okłady arnikowe dobrze działają. Można też nasmarować odciski po poprzedniej ciepłej kąpieli nóg, gliceryną.

Oddech nieprzyjemny. Przyczyną odechu nieprzyjemnego, są zwykle zepsute zęby. Na to zaleca się herbatę z szałwji i kwiecia lawendowego, którą wypłukuje się usta. Jeżeli jednak zła woń pochodzi z niedomagań żołądka, to zaleca się herbatę z mięty i centurji.

KRONIKA.

Rozwiązanie sejmu i senatu. W ubiegły poniedziałek Prezydent Rzeczypospolitej, Ignacy Mościcki, dekretem swym rozwiązał sejm i senat, wobec czego nowe wybory będą musiały odbyć się z końcem lutego lub w pierwszych dniach marca przyszłego roku.

„Sąd Duchów“. Autorką utworu zamieszczonego pod powyższym tytułem w numerach 45 i 46 „Roli“ jest Kachna L. Łza, co zostało przez pomyłkę opuszczone

Smierć w płomieniach. Ze Stanisławowa donoszą: W gminie Bratkowce zaszedł onegdaj straszny wypadek, spowodowany brakiem dozoru ze strony rodziców. Oto niejaki Mikołaj Bałabański wraz z żoną wyszli z domu, on do lasu, ona do rodziny, zamieszkałej w sąsiedniej wsi. W mieszkaniu została tylko ich 6-letnia córeczka, Kasia. Zimno jej było, toteż dziewczynka postanowiła się ogrzać. W tym celu zapaliła słomę, a ogień buchnął nagle pod sufit, objął ściany i dach, tak, że całe domostwo stanęło w płomieniach. W stajni spaliła się krowa żywcem na węgiel i mała Kasia zaczęła się też palić tak, że z płomieni ledwie ją wyratowano. Ciężki powrót mieli rodzice do domu. Dobytek w zgliszczach, a córka dogorywająca. W stanie beznadziejnym przewieziono ją do szpitala w Stryju, ale zabiegi okazały się bezcelowe. Bałabańscy odpowiedzą przed sądem za brak dozoru nad dzieckiem.

Złodzieje znachorami. Z Sosnowca donoszą: Od kilku tygodni w okolicach Sosnowca i Będzina krążył w towarzystwie dwudziestokilkoletniej niewiasty nieznany osobnik, lat około 50, z dużą, gęstą brodą. Osobnik ów przedstawiał się jako znany znachor, leczący ziołami, towarzyszka zaś jego była rzekomą pomocnicą. Para ta odwiedziła szereg mieszkań, ofiarując wszędzie swe usługi. Naiwni przyjmowali domokrążnych oszustów i chętnie płacili za udzielane porady. Dopiero po opuszczeniu mieszkania przez oszustów spostrzegano zazwyczaj brak garderoby i innych przedmiotów. Bo oto, gdy „znachor“ udzielał zainteresowanym porad i przepisywał „zbawienne zioła“, towarzyszka jego, korzystając z nieuwagi domowników, kradła co tylko wpadło jej do rąk. Podobną wizytę złożył znachor wraz ze swą towarzyszką Melanji Zych, zamieszkałej w Sosnowcu przy ul. Marjackiej 14. Znachor, wysłuchawszy zwierzeń kobiety o trapiących ją dolegliwościach, przepisał jej zioła, poczem wziąwszy od Zychowej należność za poradę, opuścił mieszkanie wraz z towarzyszką. W chwilę po opuszczeniu mieszkania przez gości, Zychowa spostrzegła, że wraz nimi ulotniło się kilka metrów różnych materjałów, czemprędzej przeto wybiegła na ulicę, a spostrzegłszy oddalających się złodziei wszczęła krzyk. Znachor, widząc, co się święci, zbiegł szybko w niewiadomym kierunku, pozostawiając na ulicy swą towarzyszkę, którą policja ujęła. Okazała się nią znana w Zagłębiu złodziejka o czterech nazwiskach: Tekla Jaskólska, Guzikowa, Marja Stemplewska, Mroczkowa. Zbiegły „znachor“, jak się okazało, niejaki Stemplewski Franciszek, był kochankiem złodziejki i razem z nią uprawiał oszukańczy proceder.

Katastrofa uzdrowicielką. Dnia 11 listopada zdarzył się, jak donoszą pisma praskie, w Bratislawie (Czechosłowacja) nadzwyczajny wypadek. Przez ulicę miasta przechodziła młoda kobieta: wszedłszy na jezdnię, biedaczka nie zauważyła, że wprost na nią pędził samochód, nie zdążyła też usunąć się na bok i została przewrócona. Przechodnie jedni podbiegli na pomoc ofiarze katastrofy, inni zaś chcieli się zabierać do szofera i na miejscu rozprawić się z nim za nieostrożną jazdę, inni pobiegli po policję. Jakież było jednak zdziwienie wszystkich, gdy młoda kobieta podniosła się sama i radośnie się śmiejąc rzekła do szofera: „Niechże pan pozwoli ucałować się!“ Początkowo sądzono, że to wariatka. Z tego błędu wszystkich wyprowadziła sama młoda kobieta. Wytłomaczyła ona obecnym, że od jedenastu lat była zupełnie niewidomą; teraz zaś odzyskała wzrok jedynie wskutek silnego strachu, jaki ją ogarnął podczas tego wypadku. Profesorowie miejscowego wydziału medycznego zajęli się tym niezmiernie dziwnym wypadkiem uleczenia ślepoty. Obiecali oni złożyć wkrótce szczegółowy raport władzom lekarskim w Pradze.

Sprytna cyganka. Do sklepu w pewnem miasteczku na Słowaczyźnie przyszła cyganka i zażądała pół kilo kawy. Gdy kupiec kawę naważył, kazała ją sobie wsypać do dzbanka, który miała w fartuchu. Wtedy cyganka zaczęła szukać po kieszeniach pieniędzy i wreszcie oświadczyła, że je zostawiła w domu. Zapewniała kupca, iż może być zupełnie spokojny, gdyż ona zaraz po pieniądze pójdzie i za kawę zapłaci, przyczem postawiła dzbanek z kawą na ladzie, prosząc aby kawy z dzbanka nie wysypywał.



To rzekłszy, odeszła. Kupiec czekał długi czas na jej powrót, a nie mogąc się doczekać, postanowił kawę wsypać na dawne miejsce do szuflady. Jakież było jednak jego zdziwienie, gdy podniósł dzbanek! Przekonał się bowiem, że był on bez dna; cyganka z kawą odeszła, pozostawiając kupcowi wzamian dziurawy dzbanek. Okazało się. że przebiegła cyganka była jednak sprytniejszą niż przezorny kupiec.

Śnieżyce i powodzie w Europie. W ubiegłym tygodniu nad całą Danją rozszalała się gwałtowna burza śnieżna. Pociąg idący z Brylup do Horsens utknął w drodze z powodu zasp śniegowych i musiano go odkopywać. Również następny pociąg z trudnością tylko zdołał przebyć ten odcinek. Żegluga na duńskich wodach jest silnie zagrożona, we wszystkich portach wystawiono sygnały ostrzegawcze. Dwumasztowiec „Glimt“, jadący ze Szczecina, zatonął. Załoga zdołała się uratować. Na północnym wybrzeżu Szlezwigu burza spowodowała gwałtowną powódź. W porcie w Sonderburg woda podniosła się o 1·15 mtr. ponad poziom normalny i zalała już szereg ulic w mieście. Z Esbier na zachodniem wybrzeżu Jutlandji donoszą, że orkan wywołał cofnięcie się wody z portu. Poziom wody tak się obniżył, że niektóre okręty w porcie utknęły na dnie. Dalej donoszą, że norweski parowiec „Figga“ z załogą 10 ludzi utonął w Północnym Kategacie. W Horsens wskutek szalejącej burzy zawalił się budynek pocztowy i pogrzebał pod gruzami pewnego robotnika. W całych środkowych Niemczech srożyła się burza połączona z silnemi opadami śnieżnymi, co spowodowało poważne zaburzenia w komunikacji. Sygnały kolejowe zostały za-

wiane śnieżycą lub też zamarzły, tak, że w wielu wypadkach pociągi musiały się zatrzymać przed sygnałami wjazdowymi, zanim uprzątnięto zasypaną linję. Specjalnie w dyrekcji kolejowej drezdeńskiej na linji Wurzen-Grossboden pociągi przybywały z wielkiem opóźnieniem. Jeden pociąg został zupełnie zasypany i musiał powrócić do Wurzen. — Z Paryża donoszą, że we Francji szalała burza. W południowej Francji w wielu miejscowościach zostały zerwane telegraficzne i telefoniczne połączenia, jak również przewody prądu elektryczne i gazowe. W Albi burza połamała stuletnie kasztany, w Tuluzie zawalił się fronton pewnego domu. W innej miejscowości piorun strzelił w dzwonnicę, która runęła.

Złączeni po śmierci. W pierwszych dniach października b. r. do szpitala w Madrycie przybył 53 letni Pio Barros, który przez przeciąg lat 30 żył w separacji ze swoją żoną. W kilka dni później przewieziono do tego samego szpitala na oddział kobiecy 50-letnią niewiastę nazwiskiem Redondo. W czasie zapisywania przybyłej do ksiąg szpitalnych okazało się, że przed 30 laty opuściła ona dom męża i udała się na poszukiwanie szczęścia zagranicą, skąd ostatnio powróciła do kraju ojczystego chora i pozbawiona środków do życia. Pio Barros zmarł 14 b. m. a nazajutrz rozstała się z życiem kobieta, zameldowana pod nazwiskiem Redondo. Zwłoki obojga złożono razem w kostnicy, gdzie przepędziły noc obok siebie. Po śmierci ich zarząd szpitala stwierdził na podstawie papierów osobistych zmarłych, iż byli to małżonkowie, którzy przed 30 laty skutkiem niezgodności charakterów rozstali się z sobą, aby iść każde swoją drogą życia. Dopiero po 30 latach śmierć połączyła ich pod jednym dachem.

Zmarli wracają do życia. Niedawno temu w jednym ze szpitali w pobliżu Sztokholmu dokonano dwóch senzacyjnych operacyj. W obu wypadkach pojawiły się u pacjentów skrzepy w sercu, ktore spowodowały ustanie działalności serca. Jakkolwiek lekarze skonstatowali śmierć, przedsięwzięto operację, a to w ten sposób, że asystenci w obecności szefa szpitala wydobyli z serc zmarłych skrzepy. Natychmiast po operacji serca zaczęły funkcjonować, zmarli wrócili do życia. Obaj pacjenci znajdują się obecnie w stanie pomyślnym, wszelkie niebezpieczeństwo śmierci minęło.

Hygjena w szkołach. W Steglitz, w jednem z przedmieść Berlina, kończy się obecnie budowa gmachu szkolnego, którego niezwykła oryginalność polega na tem, iż wzniesiony został całkowicie ze szkła oraz belek żelaznych. O wyborze tego materjału budowlanego zdecydowała opinja komisji hygjeny szkolnej, wyjaśniając, iż promienie słoneczne są najskuteczniejszym środkiem zapobiegawczym i leczniczym przeciwko tak rozpowszechnionej wśród młodego pokolenia gruźlicy. Przeźroczysty ten dom składać się będzie z 24 sal szkolnych, w których wykłady rozpoczną się na początku roku 1929.

Ciekawy eksperyment pedagogiczny. W Hamburgu zaprowadzono jedną klasę szkoły żeńskiej na rozprawę sądową przeciw pewnemu przestępcy, oskarżonemu o morderstwo. Uczenice przysłuchiwały się całej rozprawie aż do zapadnięcia wyroku. Władze szkolne przekonane są, że w ten sposób młodzież naocznie pozna tajniki prawdy życiowej i że sąd oraz kara za przestępstwo podziałają zapobiegawczo i odstraszająco.

Obładowany żebrak. Dwóch policjantów w Glasgowie potrzebowało dwóch godzin, aby przeprowadzić rewizję osobistą u pewnego aresztowanego żebraka. Człowiek ten miał na sobie 5 ubrań i 3 pary pończoch. Z licznych kieszeni wydobyto tysiące niedopałków od papierosów, zużyte i dobre jeszcze zapałki, setki kluczyków, portmonetki, nożyki, fajki, pierścionki, bezwartościowe czeki i t. p. Pozatem żebrak miał przy sobie moc pieniędzy miedzianych, ważących około 15 funtów. Aresztowany twierdził, że zarabiał przez zamianę pieniędzy miedzianych na srebrne.

Wyprawa do bieguna północnego. Z inicjatywy i na koszt bogatego przedsiębiorcy okrętowego Christensena przygotowuje się w Norwegji nowa wyprawa do bieguna południowego. Wyprawa ma na celu odkrycie nowych terenów dla połowu wieloryba. Pozatem przeprowadzone będą naukowe badania oceanograficzne, zoologiczne i geograficzne. Wyprawa wyruszy w lipcu przyszłego roku pod kierownictwem profesora Holtedahl'a. Przeznaczony dla ekspedycji statek nosi nazwę „Norwegja".

Plaga wilków w Chinach. Na granicy chińsko-mongolskiej liczne wsie chińskie nawiedzone zostały przez wilki, które pojawiły się w stadach po 200 zwierząt. Wilki stały się postrachem ludności, która jest bezsilna wobec drapieżników. Oddalanie się od wsi jest rzeczą bardzo niebezpieczną i nie uchroni przed nimi nawet ucieczka na koniu.



Wilki dopadają i szybszego konia, a jak widzimy na naszym obrazku ofiarą padł nietylko koń, ale też jeden z tamtejszych wieśniaków. Prócz tego ofiarą wilków dotąd padło jeszcze 20 innych osób w tem czworo dzieci. Na pomoc ludności wiejskiej i do przepędzenia wilków wysłano wojsko.

Lwy w pogoni za motocyklem. Z Kapstadtu donoszą: Pewien motocyklista, powracając od wodospadów Wiktorji do Bulawaio, przeżył groźną przygodę. Zatrzymał się mianowicie w pewnem miejscu na drodze, celem lepszego przytwierdzenia wózka z boku motocyklu. Wtem z zarośli wybiegły dwa lwy, które, przyjrzawszy się mu przez chwilę, w szalonych susach poczęły biec ku przerażonemu motocykliście. Ten wszakże, nie straciwszy przytomności umysłu, puścił maszynę w ruch i rozpoczął ucieczkę, ścigany zaciekle przez oba lwy, sadzące za nim w olbrzymich susach. Podróżny był całkowicie pozbawiony broni, lwy zaś zbliżały się coraz bardziej. Skoro wreszcie dzieliła go już tylko przestrzeń 3 metrów od ścigających napastników, wpadł nagle na szczęśliwy pomysł otwarcia wentylu w maszynie. Wówczas huk i ryk motoru przeraził krwiożercze zwierzęta, które po chwili namysłu zawróciły i znikły w zaroślach.

Przepowiednia astrologa hinduskiego. Z Poony, w Indjach Wschodnich, donoszą do „Chicago Tribune", że znany astrolog tamtejszy Pundit Szestri, którego ostatnia przepowiednia, tycząca się zbioru bawełny wywołała wprost sensację, przepowiada obecnie, że w maju 1928 roku wybuchnie wielka wojna pomiędzy Wielką Brytanją a Rosją, sprzymierzoną z Chinami, tudzież innemi państwami azjatyckiemi. Nowa ta wojna ma trwać pięć lat i stanie się wkońcu powszechną, szerząc się od

wybrzeża morza Śródziemnego do Gangesu. Dopiero w 1933 lub 1934 roku nastanie pokój. Tak odczytał w gwiazdach asrtrolog hinduski! Rok 1928 „na karku", a więc zobaczymy, czy przepowiednia ta sprawdzi się. Fałszywych proroków jest dość na świecie.

Dziecko - wilk. Pewien stary Hindus, myśliwy w lasach rządowych, mieszkający tuż koło drogi prowadzącej do Mirzapuru, przyniósł dziwną wieść do miasta i przysięgał na wszystkie bogi, że jest prawdziwą. Skutek był taki, że zebrała się karawana, złożona z 20 Europejczyków i kilkudziesięciu tubylców i ruszyła w drogę. Przewodniczył jej ów Hindus. Po długim czasie dotarto do wskazanego przez niego miejsca, nabito karabiny i rozpoczęło się dziwne polowanie. Księżyc świecił jasno. Pochód zbliżał się do sznura dzikich pagórków skalistych i stromych. Przekroczono całe zwały kamieni i wreszcie wkroczono po małej dolinki, poszarpanej, obrośniętej gmatwaniną krzaków i roślin pnących. Ze wszystkich stron otoczono dolinkę i łańcuch myśliwych zacieśniał się coraz bardziej. Wtem zerwało się jakieś długie, wysmukłe ciało i popędziło z niesłychaną szybkością z pagórka w dół, znikając w rozpadlinie skalnej, zakończonej jaskinią. Karawana rozłożyła się dokoła. pestanowiono czekać co będzie dalej? Ustawiono straże tak, że żadne żywe stworzenie nie mogło umknąć. Stał się dzień i odrazu nastało gorąco, to nużące osłabiające nerwy gorąco indyjskie. Minuty wydają się godzinami. Szybciej, niż można to opowiedzieć nastąpiły teraz po sobie wypadki. Ledwo zmrok zaczął ogarniać ziemię, wynurzyła się z jaskini głowa szpiczasta, a potem ciało wilka. Za nim wyszły dwa niedołężne jeszcze wilczki, wreszcie, o dziwo, stworzenie idące prosto na dwóch nogach. Czyżby stary myśliwiec nie mylił się? Ostre strzały odbiły się echem od ścian wąwozu. Okrwawiona padła na ziemię wilczyca. Jej młode i zagadkowe stworzenie dwunożne zbiegło w dół prosto w ramiona strzelców. Stworzenie dwunożne gryzło z wściekłością i drapało tak, że musiano je spętać powrozami. Był to chłopczyk, może 6-letni. Zresztą raczej zwierzę niż człowiek, bo owłosiony, ze zwyczajami dzikiego zwierzęcia. Tępo patrzył na ludzi, którzy oglądali go ze zdumieniem, siedział jak pies wsparty na rękach, zrywał ubrania i bieliznę, był trwożny i nie pozwalał przystępować do siebie, wydając pewien rodzaj szczekania, gdy go ktoś podrażnił. Było to dziecko, które wilczyca zrabowała gdzieś i wykarmiła. Czy obudzi się w niem jeszcze dusza ludzka? Należy przeczekać jeszcze. Nie jest to pierwszy wypadek tego rodzaju. W połowie ubiegłego stulecia znaleziono w pobliżu Gwalioru również chłopczyka, wychowanego przez wilczycę, z którego wyrósł jednak jeszcze człowiek cywilizowany.

Skarb na dnie morza. Pewne japońskie towarzystwo nurkowe otrzymało od rządu sowieckiego koncesję na poszukiwanie za angielskim statkiem wojennym „Black Prince", który w czasie wojny krymskiej zatonął w okolicy Bałakławy. Statek wiózł wówczas z sobą złoto wartości kilkuset tysięcy funtów szterlingów. Towarzystwo japońskie przekonane jest, że dzięki zastosowaniu nowoczesnych urządzeń nurkowych uda się skarb wydobyć z głębin oceanu.

Groźna przepowiednia. Japonja, kraina wschodzącego słońca, wiśni kwitnącej i drzemiących wulkanów, wydaje pokolenia, dla których te wulkany, ani nieodłączne przeważnie z ich wybuchami trzęsienia ziemi nie są „nadzwyczajnością". Toteż, kto wie, czy Japończyk na podstawie tajemniczych ostrzeżeń przyrody nie wyczuwa katastrofy wcześniej i trafniej od Europejczyka. A właśnie p. Imamura, znakomity uczony japoński bawił ostatnio w Europie, na konferencji sejsmologicznej w Pradze czeskiej i przy okazji zwiedził Włochy, Neapol i widział Wezuwjusz. Wracając zaś do Japonji oświadczył stanowczo, że najpóźniej w ciągu roku nastąpi wybuch straszliwego tego wulkanu. Wybuch ten będzie o wiele silniejszy od kataklizmu w r. 1906. Toteż świat naukowy oczekuje z wielkiem zainteresowaniem, czy przepowiednia p. Imamury, żółtolicego i skośnookiego mędrca, spełni się.

Niezwykła katastrofa komunikacyjna. Pierwsze chyba w dziejach lotnictwa zderzenie samolotu z pociągiem nastąpiło przed kilku dniami koło Newmarket (Stany Ziednoczone). Silna mgła uniemożliwiła pilotowi kierowanie aparatem, postanowił przeto wylądować „na ślepo", nie przeczuwał jednak, że wpadnie na pociąg pospieszny w biegu.



Maszynista zdążył na szczęście chwycić za hamulec parowozowy, pilot zaś znalazł na tyle przytomności umysłu, by wyskoczyć z aeroplanu. Dzięki temu pan Hobson okupił tytuł pierwszego lotnika „wykolejonego" przez pociąg... kilkodniowem zaledwie leżeniem w łóżku i lekkiemi obrażeniami ciała.

Upały w Argentynie. Kiedy u nas pierwsze mrozy ścięły ziemię z Buenos Aires donoszą, iż w prowincji Santiago de Estero panują niezwykłe upały. Termometr osiąga 45 stopni Celsiusa ciepła.

Kobiety w służbie morskiej. Do portu archangielskiego zawinął niedawno parowiec handlowy, na którym cała załoga prócz kapitana jest żeńska. Starszy i młodszy porucznik, majtkowie, chłopcy okrętowi w malowniczych kostjumach marynarskich — wszystko to są kobiety. Silne, rosłe, doskonale wygimnastykowane, spełniają swoje obowiązki jak najlepiej; statek lśni czystością, służba idzie jak w zegarku, wszędzie panuje porządek i spokój. „Marynarki" te bowiem, aczkolwiek palą tytoń, ale nie używają wódki ani żadnych napojów wyskokowych, i kapitan twierdzi, że nigdy nie miał takiego spokoju i pewności bezpieczeństwa swego statku, jak z tą kobiecą załogą. Nowe zaś „wilki morskie" są również zadowolone, mają bowiem zapewniony byt, ludzkie traktowanie, a wiele z nich znalazło w tej służbie zapomnienie strasznych chwil, spędzonych wśród okrucieństw rządów bolszewickich. Każda z tych kobiet jest silna, zręczna i doskonale umie sobie radzić na swem stanowisku. Opisujący ten oryginalny statek podróżny Anglik opowiada, że doznał formalnego zażenowania, iż musiał, schodząc z chwiejnej drabinki sznurowej przyjąć pomoc dłoni kobiecej, która go podtrzymywała.

Wszystkich prenumeratorów prosimy o adresy osób, któreby mogły „Rolę" zaprenumerować, a numera okazowe im prześlemy.

RZECZY CIEKAWE.

Dziwy przyrody.

W ogrodzie luksemburskim w Paryżu przez długie miesiące czyniono próby w kierunku ustalenia, czy zwierzęta wogóle, szczególnie zaś ptaki, żyjące zupełnie na swobodzie, mają poczucie czasu. Próby te pozwoliły stwierdzić, że np. szpaki codzień zbierały się w tem samem miejscu o tym samym dokładnie czasie; a wabikiem był dla nich pewien staruszek, który przynosił okruchy chleba i ryż. Równo trzy kwadranse na dziesiątą ptaki przybywały na miejsce i czekały na swego dobroczyńcę. Spostrzeżenia te doprowadziły do wniosku, że ptaki wogóle mają poczucie czasu, zwłaszcza, że szpaki przylatywały zawczasu i cierpliwie czekały.

Bardziej jeszcze rozwinięte poczucie czasu mają psy. To już mniej dziwi, wiemy bowiem, że pies jest najbliższym z pośród zwierząt towarzyszem człowieka, może więc łatwiej, niżeli wszystkie inne stworzenia, wyrobić sobie pojęcie czasu. Dlatego psy doskonale wiedzą, kiedy nadchodzi czas ich karmienia; wiedzą też, kiedy trzeba pójść na dworzec przywitać swego pana, choć zegarka nie mają. Pewien Anglik opowiada odnośnie do psów bardzo ciekawy wypadek. Mieszkał on czas dłuższy na wsi, gdzie nie było poczty i gdzie listy i gazety trzeba było odbierać u jednego z mieszkańców tej wsi, pełniącego rolę pocztmistrza. Anglik ów miał psa, którego też codzień wysyłał po pocztę; pies brał listy i pisma od poczmistrza i w porządku odnosił do domu. Robił to zresztą bardzo chętnie. Nie było jednak sposobu, by go nakłonić do pójścia po pocztę w niedzielę. Czy pies wiedział, że w niedzielę poczta była zamknięta? Trudno na to odpowiedzieć; w każdym razie nawet wypędzanie go z domu w niedzielę o tej porze, kiedy w dni powszednie chodził po pocztę, nie odnosiło skutku. Zapewne z różnych okoliczności pies wywnioskował, że poczty w niedzielę odbierać nie można. A że danego dnia była właśnie niedziela, pies wywnioskował stąd, że tego dnia w domu jego pana wszystko szło inaczej, aniżeli w dni powszednie.

Przedhistoryczne siedziby wśród moczarów.

Archeologowie szwedzcy odkryli ufortyfikowaną wioskę, zbudowaną na palach wśród moczarów w pobliżu historycznego klasztoru Alvastra w prowincji Oestergotland. Była to kolonja z epoki kamiennej, zamieszkała przez czystą rasę szwedzką, egzystująca przed 5000 lat i należąca do najdawniejszej cywilizacji.

Odkrycia dokonał farmer, który kopiąc dół pod fundament domu w miejscu, gdzie dawniej rozciągały się bagna, natknął się na konstrukcję drewnianą, wystającą z gruntu na przestrzeni conajmniej 1500 metrów kwadratowych. Lud, który tu mieszkał, wybudował sobie tę obronną wioskę w środku płytkiego jeziora, łącząc ją zapomocą mostu z wybrzeżem. Tym mostem pędzono na pastwisko trzody i sprowadzano je z powrotem, by uchronić przed rabunkiem sąsiednich szczepów normandzkich, które żyły z polowania i rybołówstwa, a zapewne także z rabunku i kradzieży bydła. Ludzie zamieszkujący bagna, posiadali znacznie wyższą kulturę od swoich wędrujących i wrogich sąsiadów.

Podobny fort pośród wód odkryto również na jeziorze Tingstaede na szwedzkiej wyspie Gottland. Datuje on z wczesnej epoki żelaznej i zbudowany został, jako miejsce schronienia w czasach zamieszek. Znany szwedzki podróżnik i literat ks. Erik von Rosen natrafił przed kilku laty na szczepy tubylcze w Afryce centralnej, które zamieszkują również forty na bagnach i żyją życiem podobnem do życia dawnych mieszkańców jeziora szwedzkiego.

Mężczyźni i kobiety.

Według statystyki, w Europie na 1000 mężczyzn przypada 1024 kobiety, w Afryce 990, w Ameryce 997, w Azji 944, w Australji 812.

Wśród krajów europejskich stosunkowo najwięcej kobiet ma Norwegja: 1060 na 1000 mężczyzn. Z kolei idą: Anglja z 1059 kobietami, Szwajcarja z 1056, Hiszpanja z 1044, Portugalja z 1041, Niemcy, Austrja i Węgry z 1033, Danja z 1032, Polska z 1022, Francja z 1008. Inne państwa Europy mają mniej kobiet, niż mężczyzn. I tak np. Włochy liczą tylko 989 kobiet na 1000 mężczyzn, Beglja 985, a państwa bałkańskie około 950.

W Afryce kilka państw, w tej liczbie Egipt ma więcej kobiet, niż mężczyzn, w większości jednak krajów afrykańskich mężczyźni są liczniejsi od niewiast. Najwięcej kobiet znajduje się w Indjach Zachodnich 20 proc. więcej niż mężczyzn. W Ekwadorze na 1000 mężczyzn przypada 1129 kobiet, w Kolumbji 1058, Salwador jest jedynem państwem na świecie, gdzie liczba mężczyzn równa się liczbie kobiet. W Stanach Zjednoczonych na 1000 mężczyzn przypada tylko 978 kobiet, w Peru i Kanadzie 976, w Argentynie 942, w Brazylji 938, w Urugwaju 934, w Japonji 971 w Indjach angielskich 914, na Syberji 932, w Azji środkowej 909, na Kaukazie 898, na Cejlonie 877, w Hong-Kong 375.

Przeciętny wzrost ludzki.

Sprawa wzrostu ludzkiego należy do tych, które najbardziej obchodziły uczonych antropologów. Z różnorodnych danych wynika, że największym człowiekiem, w ciągu ostatniego stulecia, był pewien mieszkaniec Finlandji, mierzący 2.83 m. Najmniejszym zaś był pewien karzeł, urodzony na Węgrzech; miał on zaledwie 43 centymetry. Pomiędzy temi wymiarami krańcowemi są na szczęście ludzie wzrostu średniego, ten zaś w dużej mierze zależy od klimatu, zwyczajów, obyczajów, które na wzrost ludzki wywierają wpływ bardzo poważny. Mieszkańcy Patagoji np. (Ameryka Południowa) dochodzą do najwyższej przeciętnej dla ludzkiego wzrostu, mierzą bowiem 1 m. 78 cm. Buszmeni w Afryce natomiast mają przeciętną najniższą, wynosi ona bowiem zaledwie 1 m. 33 cm.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Franciszek Lewandowski** w U.: Wszystkie nadesłane nam utwory są zupełnie dobre, ale nie wszystkie nadają się do „Roli". „Człowiek w Wszechświecie" i „Noc ludzkości" mogłyby być umieszczone w którémś z pism ściśle literackich, ale nie w „Roli", w której może jest mniej polotu, lecz wszystko, co zamieszczamy, jest zrozumiałe dla w s z y s t k i c h Czytelników, a tego o wyżej wymienionych utworach powiedzieć nie można. Inne będą w „Roli". Prosimy o dalsze prace, lecz pisane stylem jak najprzystępniejszym. Konkurs już zamknięty. — **Karol Miazga** w N.: Wybory zaczynają się już robić. Ogół społeczeństwa nie wiele się jeszcze nimi interesuje, gdyż na to jest dość czasu, lecz hjeny wyborcze zaczynają już węszyć, zwołują poufne i jawne zgromadzenia, szukając naobfitszego żeru. Nie zasypiają sprawy i dotychczasowi posłowie. Przecież to tak przyjemnie było brać pieniążki, a nic, albo prawie nic nie robić. Anużby się udało jeszcze na dal-

sze pięć lat. — **Stanisław Karpiel** w P.: Wolno psu na Bożą Mękę szczekać, ale Jej ugryźć nie wolno! Najlepiej nic sobie z niczego nie robić, ale iść przez życie z podniesionem czołem. Tylko ludzie słabi upadają pod nawałem przeciwności, natomiast silni duchem idą przez życie przebojem i niemal zawsze dochodzą do zamierzonego celu. — **Wanda Sasówna** w Z.: Wierszyk z fotografją otrzymaliśmy. Jeżeli dusza Pani tak piękna, jak ciało piękne, sądząc po fotografji, to żyć a nie umierać! — **Jan Kukla** w N.: Nie dziwimy się, że chciałby Pan widzieć nasze portrety w „Roli", bo i my pragnęlibyśmy mieć podobizny naszych przyjaciół. A że ich nie umieszczamy to tylko dlatego, gdyż tak prędzej niejeden może się łudzić, że byłaby to rzecz godna widzenia. A zresztą wydawca nie chce dać na fotografje pieniędzy, gdyż mówi, że woli drukarnię zapłacić, a redaktor ich nie ma i w tem przeszkoda najważniejsza... Ale z czasem jakoś się to zrobi. Może który z nas dolarówkę wygra, o ile ją od kogo poprzednio na Mikołaja dostanie. — **Jan Kania** w Z.: Słusznie Pan pisze, że wierszyki jego jeszcze nieudolne, ale nie dziwimy się temu, gdyż ręka przyzwyczajona do ciężkiej pracy niełatwo chodzi po papierze. Ale tem zrażać się nie trzeba, gdyż my i najgorsze rzeczy naszych czytelników chętnie czytamy i cieszymy się, że chcą pisać. A czasem wśród masy plew i ładną perełkę wyłowimy. — **Marja Radlmesser** w S.: Już myśleliśmy, że Pani o nas zapomniała. — **Wincenty Kuglin:** Wierszyk dobry, a szczególniej dla nas miły. — **Erwin Ryś** w B.: Zagadki dobre, pójdą w miarę miejsca. — **Walek Kowalczyk** w S.: Gdybyśmy wszystkie dobre wiersze nadesłane nam natychmiast drukowali, trzebaby całą „Rolę" tylko wierszami zapełnić. — **Jan Kubielas** w G.: Trudno nam myśleć o zmianie adresu, która ma nastąpić za dwa, trzy lub więcej tygodni. Dotąd każdy przysyłał zmianę adresu od zaraz. Co do kalendarza „Roli", to i o nim pomyślimy, gdy tylko będziemy się czuć na siłach: ciężka rzecz była „Rolę" w ruch wprowadzić, bo trzeba Panu wiedzieć, że wydawnictwo z nikąd pomocy finasowej nie ma, przed wojną n. p. „Rola" otrzymywała corocznie subwencję, a obecnie otrzymuje „zaproszenie" do wykupna patentu. Wprawdzie powie Pan, że na kalendarzu może „Rola" zarobić, ale niema pewności, że musi zarobić, gdyby się straciło na kalendarzu, odbiłoby się nietylko na kalendarzu ale i na „Roli". Mamy nadzieję, że z dotychczasowych czytelników „Rola" żadnego nie straci, a z pomocą dawnych czytelników nowych wciąż przybywać będzie. Cześć! — **Rudolf Tobola.** Obydwa utwory otrzymaliśmy. — **Józef Kapuściński** w L.: Otrzymaliśmy — dzięki. Prenumeratę na rok 1928 już przesyłać można w tej samej wysokości co na rok 1927. — **J. W.** w Brzeżanach: Przesyłka „Roli" minęła się w drodze z listem. Pod wskazanym adresem numera z bież. kwartału wysłaliśmy. Cieczy nas zjednanie dla „Roli" nowych prenumeratorów. Także i Maciuś uradowany, że na Godne Święta coś do śledzia dostanie.

Unieważnia się zgubioną książeczkę wojskową, wydaną przez P. K. U. w Sanoku na nazwisko Jan Stanek, urodzony w r. 1899 w Zarzeczu pow. Jasło.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył „Yoga").

■ ☆ ☆ ■ Bywa w klasztorze.
■ ☆ ☆ ■ Czar.
■ ☆ ■ Ciężar wspak.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Dowódca wschodni.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Znajduje się w wodzie, 2 p.
■ ☆ ■ Swemu, w jęz. martw. [l. mn.
■ ☆ ☆ ■ Miasto w Polsce.
■ ☆ ☆ ■ Należą do nabiału, wspak.

Litery w pierwszym rzędzie, wstawione zamiast kwadratów, czytane z góry na dół dadzą nazwę jednej z bitew wojny światowej; w ostatnim zaś rzędzie litery czytane z dołu do góry dadzą nazwisko bohatera w tej bitwie.

II.

■ ■ ■ ■ ■ ■
■ ■ ☆ ☆ ☆ Zjawisko fizyczne wspak
■ ☆ ■ ☆ Używane w meczu słowo wspak
■ ☆ ☆ ■ Cztery spółgł. [wo wspak
■ ☆ Litera fonetycznie wspak
■ Spółgłoska.

Litery wstawione zamiast kwadracików: poziomego (od lewej do prawej) i pionowego (z góry na dół) dadzą nazwisko wodza polskiego, zaś ukośne z dołu do góry, generała francuskiego.
(Rozwiązanie tyczy się również rzędów pionowych).

2. Szarady.

(Ułożył Wł. Maniewski z D.).

Drugie pierwsze żydków święta,
Czasem nawet są kuczęta,
Samo pierwsze zna ten co na basach grywa,
To jest człowiek, co basistą u nas się na- [zywa,
Trzecie drugie między ludźmi, nawet mie- [dzy bydłem bywa,
W całym świecie różnie się nazywa
Całość (zaś to nazwisko znanego poety,
Który nieraz z Moskalami bił się na ba- [gnety.

II.

(Ułożył Wł. Marko z K.).

Pierwsze drugie znajdziesz w rogu,
Drugie, trzecie bywa w grochu,
Pierwsze, trzecie bez „n" płyną na wodzie.
Całość raz w roku jest w modzie.

III.

(Ułożył Wł. Marko z K.).

Drugie czwarte znaczy koniec,
Gdy dobiegnie z klubu goniec,
A materja trzecia, czwarta,
Dawniej w Polsce dużo warta,
Pierwsze, czwarte do gry służy,
Całość Bogu „in laus" służy.

3. Układanki.

(Ułożył Szewczuk Włodzimierz z J.).

1) Okrycie drzew + rodzajnik francuski = produkt z morza.
2) Zaimek osb. + spółgłoska + zaimek = desenie pokojowe.
3) Inaczej ogień + owoce + bóg egipski = sprzęt salonowy.
4) Widziadło + pojedynczy głos = starożytne miasto.

3. Zagadki.

(Ułożył Wł. Marko z K.).

I.

Czy to wprost, czy wspak
Przysłówek jest tak i tak.

II.

Na wprost jeden z wulkanów się mieni,
Wspak na martwy język się zmieni.

III.

Na wprost imię żeńskie zdrobniale bywa,
Wspak człowiek, gdy przeczy, głową kiwa.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy w nagrodę dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 11 grudnia b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 47 „Roli": 1. Arytmograf: Feliks Kowalczyk. 2. Szarady: a) Kalwarja. b) Sąsiedzi. c) Wycieczka. d) Płomienie. 3. Układanki: Kijów. Armata. Car. Sobieski. Królewiec. Parlament. Paryż. Bóbr. Kalwarja. Ave Marja. 4. Bilety wizytowe: Malarz. Mierniczy. Kompozytor. Redaktor. Komisarz. Adjunkt. 5. Przestawianka: „Na złodzieju czapka gore. Nie wywołuj wilka z lasu".

W oznaczonym terminie dobre rozwiązania nadesłali pp.: Piotr Wenc z S., Leon Kranz z S., Władysław Marko z K., Józef Kapuściński z L. (wierszem), Alfons Czader z S. W., „Yoga" z K., Gabrjel Wirstnik z Szcz., Ks. Stanisław Scholz z L., Michał Koszarski z D., Feliks Popielarczyk z W. D., Jan Patulski z O., Henryk Biłka-Głębicki z S., Stanisław Czaja z Szcz., Stefan Reuss z K., St. Nowak z K. (wierszem), Marja Woźniakiewicz zG. i Jan Rogóż z M.

Nagrody wylosowali pp.: A. Lichorowicz z H., Ks. Stanisław Scholz z L. i Stefan Reuss z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Na odczycie.

— Ogólnie wiadomo, że ciepło rozszerza różne ciała, a zimno je kurczy. Otóż na mocy tego latem bywają dnie długie, a w zimie krótkie.

Trafne strzały.

Następująca autentyczna historja zdarzyła się przed wojną. Jeden z synów Wilhelma II przyglądał się w strzelnicy wojskowej w Poczdamie, pewnemu oficerowi strzelającemu do tarczy, który pociągnąwszy za cyngiel oznajmił nim jeszcze wynik strzału został stwierdzony: „Dziewięć punktów na lewo". „Dziesięć na dole".

Książe wyraził swe zdziwienie owemu oficerowi, iż z taką dokładnością oznacza pole trafienia. Położył to na karb przypadku. W trakcie rozmowy, jaka się wywiązała, zaproponował oficerowi zakład o dwie butelki szampana, twierdząc, że strzelec nie będzie mógł oznaczyć z góry z całą dokładnością pięciu po sobie następujących strzałów. Oficer, uśmiechając się, zakład przyjął.

Odliczono pięć naboi i porucznik rozpoczął. Pierwszy strzał: „Pudło".

Żołnierz kontrolujący punkty machnął chorągiewką na znak, że tarcza nie została przestrzelona.

Porucznik zapowiedział drugi strzał: „Pudło".

Wreszcie trzeci: „Pudło".

Czwarty strzał: „Także pudło", zapowiedział najwyraźniej młody oficer.

— Ale co pan robi? Myślałem, że pan strzela do tarczy? — zapytał zdziwiony książe.

— Ależ oczywiście, tylko ja strzelam w ten sposób, ażeby wygrać szampana, odparł dowcipniś.

Książe nie wymagał nowej próby, lecz tego samego wieczoru wypisał kwit do kasyna na dwie butelki szampana.

Gorliwy pomocnik.

Pewien pan woła na młodszego służącego:

— Janie! a co ty robisz?

— Ja, proszę pana, pomagam Piotrowi.

— Dobrze! a cóż właściwie Piotr robi?

— Piotr... hm... Piotr, proszę pana... on nic nie robi.

Aleksander Wnękowski

Introligatornia

Kraków, ul. św. Sebastjana L. 11.

oprawia książki pojedynczo i w większych nakładach, wykonuje starannie, po cenach niskich.

Kupujcie wprost u wytwórcy!

Powroźnicze

wyroby pierwszorzędnego wykonania jak:

Liny konopne transmisyjne dla fabryk i kopalń, budowlane, do żeglugi i rolnictwa, wyroby do rybołóstwa, linki strażackie, turystyczne, drabiny linowe, sznury białe i szare, postronki na uprząż, lejce, uździenice, pasy, taśmy, szpagaty, hamaki, huśtawki, siatki, konopie czesane pakuły do uszczelnień i t. p. dostarcza:

Fabryka Powroźnicza

Stanisława Wałkowińskiego

w Krakowie-Zwierzyniec ul. Lelewela 11.

Wysyła monterów do lin transmisyjnych.

Sprzedaż częściowa i hurtowna.

Cenniki na żądanie.

Uwaga na dokładny adres.

Książki do nabożeństwa

Zbiorek Modlitw, Książka do nabożeństwa dla czcicieli Serca P. Jezusa, stron 512, oprawne 2 łz. 70 gr.

Przyjdź Królestwo Twoje, Książeczka do nabożeństwa dla młodzieży, stron 320. Oprawne w płótno 1·80 zł.

Ołtarzyk polskiego dziecka. Wybór modlitw i pieśni dla dzieci, stron 160, oprawne . . . . 1 zł. 30 gr.

Lekarz-dentysta

Aleksander Romm w Krośnie

w domu J. Zygmuntowicza, obok kościoła OO. Kapucynów, wykonuje wszelkie zabiegi w zakres dentystyki wchodzące (wyjęcie zębów, plombowanie, zęby sztuczne na kauczuku, złocie itp.). Przyjezdnych załatwia się natychmiast.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 29 listop. b. r.

Pszenica .	51·50—52·50	Słoma długa	6·50—7·50
Żyto . .	00·00—00·00	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	37·00—38·00	Koniczyna nasienn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień .	39·00—40·00		
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	28·50—29·00
Fasola biała	43·00—45·00	Mąka żytnia	61·50—62·00
Groch zwyk.	00·00 00·00	Mąka pszen.	81·00—81·50

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Dla reklamy

Za 5 zł. 5 kg Miodu

lipcowego czysto-pszczelnego pod gwarancją otrzymać można we firmie:

„Pszczółka" **Kupczyńce poczta Denysów ad Tarnopol.**

Wysyłka w pięcio-kilowych plombowanych puszkach. W razie niezadowolenia zwrot należytości.

Wyszła z druku broszurka p. t.

Ze strun duszy, Z kwiatów polnych, Z przędzy dymu.

zawierająca utwory poetyckie naszych współpracowników i przyjaciół »Roli« **Ireny Trzaskowskiej** z Łucka **Kachny Łęczynianki i Donata Lesiowskiego.** Cena egzemplarza 45 groszy wraz z przesyłką poczt. Do nabycia w Administracji »Roli«.

Za 1 złoty wysyłam jeden Kalendarz książkowy na rok 1928 i książki powieściowe p. t. „Od Polski".

A. MAGURA sprzedaż książek Uhnów.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: **Konto pocztowe 406 301 Kraków.**

OKŁADKI NA „ROLĘ"

twarde, mocne, gustownie wykonane z wybitym rokiem w cenie 2 zł. wraz z przesyłką pocztową wysyła Administracja „Roli". Wysyłka następuje zaraz.

Przy przesyłaniu pieniędzy należy zaznaczyć na co są przeznaczone.

Życzenia na czekach prosimy wypisywać na środkowej części czeku, gdyż tę część otrzymujemy.